

MORE MAIORUM

MIESIĘCZNIK GENEALOGICZNY

NR 6(53)/2017 | CZERWIEC 2017

moremaiorum.pl
ISSN 2450-291X

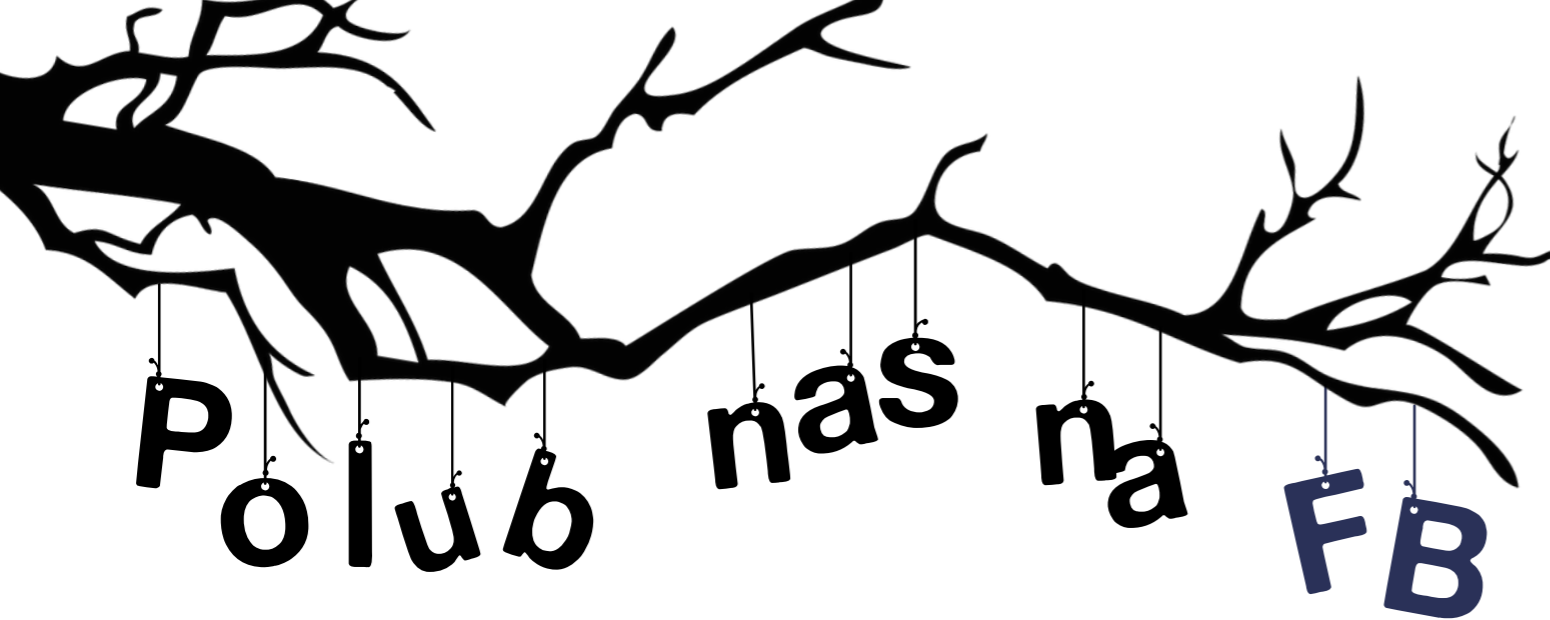


10/5 - 8/6	4	Merintan	1 - 1 -	Smoleń Franciscus Rymar filius Francisci Victoria Go-	Julia Gre- nich filia Laurentis et Rosaliae Diedric
Ed. 1162/1922		Karol			
1904		„Mistrz, cemi Elisabeth Basken			

Bohdan **SMOLEŃ** – potomek przedsiębiorców i **górali**



Jak odszukać
przodków **BIEŻEŃCÓW**?



<www.facebook.com/miesiecznikmoremaiorum>



FOT. ALAN JAKMAN

> Alan Jakman

Między genealogią a historią, czyli o poszukiwaniach

Jak często się mówi – metryki są fundamentami, na których budujemy swoje drzewo genealogiczne. Jednak dokumenty kojarzone *stricte* z genealogią, mogą być pomocne również dla opracowań historycznych. Ba! Nierzadko stanowią podstawowe źródło informacji, a dane w nich zawarte są olbrzymią bazą danych dla socjologów. Co za tym idzie, przejście pomiędzy genealogią a historią – w jedną i drugą stronę – jest bardzo płynne.

Aneta Prymaka-Onkisz – autorka książki *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*, pokazuje, jak genealogia łączy się z historią. Wszystko zaczęło się od babcinych opowiadań o swojej młodości, pierwsze przyszła genealogia, potem historia. Okazało się, że życie chłopów

z niewielkich wsi wpisało się w tę wielką międzynarodową historię. Bieżeństwo, choć przez lata zapomniane, przetrwało właśnie w rodzinnych opowieściach.

Poszukiwania genealogiczne najczęściej łączą się więc z lokalną historią. Są to dwa obszary uzupełniające się nawzajem. 9 czerwca 2017 roku Bohdan Smoleń, gdyby żył, obchodziłby 70. urodziny. W wywiadach wspominał, że jego pradziadek był Włochem. Postanowiliśmy to sprawdzić. W tym numerze przeczytanie o historii Smoleniów w Bielsku i tragicznych losach przodków po kądzieli.

A to tylko dwa tematy z czerwcowego wydania *More Maiorum*. Serdecznie zapraszam do lektury!



Uroczystość Bożego Ciała

Fragment procesji na placu przed kościołem w Brwinowie, ok. 1930 rok



FOT. NAC, STRON. 1-3R-311

MORE MAIORUM
MIESIĘCZNIK GENEALOGICZNY



WYDAWCA

Alan Jakman
ul. Wita Stwosza 27/15
43-300 Bielsko-Biała

REDAKTOR NACZELNY

Alan Jakman

KOREKTA

Dorota Cieślak, Jolanta Dec (SFERA),
Izabela Ziółkowska-Balewska

SKŁAD I ŁAMANIE TEKSTU

Alan Jakman

OKŁADKA ORAZ OPRAWA GRAFICZNA

Alan Jakman
Na okładce: fotografia bieżeńców (NAC),
akt chrztu Bronisława Karola Smolenia
(prywatne archiwum Łukasza Kominiaka)
oraz plan Bielska z 1939 roku (igrek.amzp.pl).

ISSN

2450-291X

e-mail: redakcja@moremaiorum.pl
www.moremaiorum.pl

Autorzy tekstów: Zofia M. Jakóbczak, Alan Jakman, Ewa Busse-Turczyńska, Sergij Batogowski, Piotr Rytteł, Martyna Bryś, Grażyna Stelmaszewska, Monika Walaszczyk, Robert Magnuski, Paweł Becker, Marta Jasińska.

Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce).

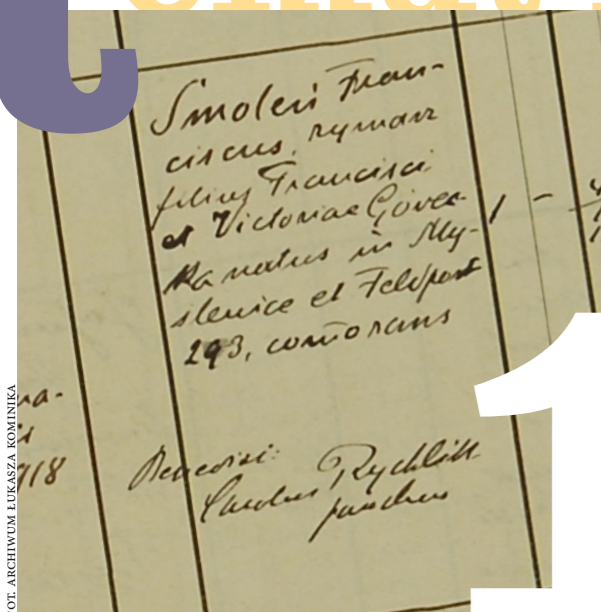
Zgodnie z ustawą z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim jakiegokolwiek kopiowanie, rozpowszechnianie (we fragmentach, lub w całości) zamieszczonych artykułów, opisów, zdjęć bez zgody Redakcji będzie traktowane jako naruszenie praw autorskich.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Temat NUMERU

Bohdan Smoleń – potomek górali, prawnik Włocha i wiedenki

FOT. ARCHIWUM LUKASZA KOMINIKA



16



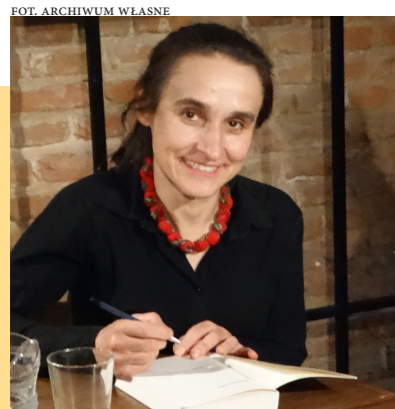
Jak wydać
własną
książkę?

20



Niezwykły
wojak
spod Monte
Cassino

34



Wywiad
z Anetą
Prymak-
Oniszk

6

6

"Bieżeństwo było jednym z tematów rodzinnych opowieści"
– rozmowa z Anetą Prymak-Oniszk

14

Genealogiczna pracownia Mariusza Żebrowskiego

16

Bohdan Smoleń – potomek przedsiębiorców i górali

20

Self-publishing w genealogii. Jak wydać własną książkę?

26

Wykazy wyborców jako źródło badań genealogicznych na Kresach

30

Florjanka – Towarzystwo nie bez skazy

34

Niezwykły wojak spod Monte Cassino

38

Sport w okupowanej Warszawie – jak "grano" z Niemcami?

42

Hegemoni pabianickiego włókiennictwa

46

Genealogia genetyczna staje się coraz bardziej popularna

48

Przez 12 miesięcy zindeksowano prawie 2 mln nazwisk!

50

Jakie tajemnice kryje przed nami czerwiec?

54

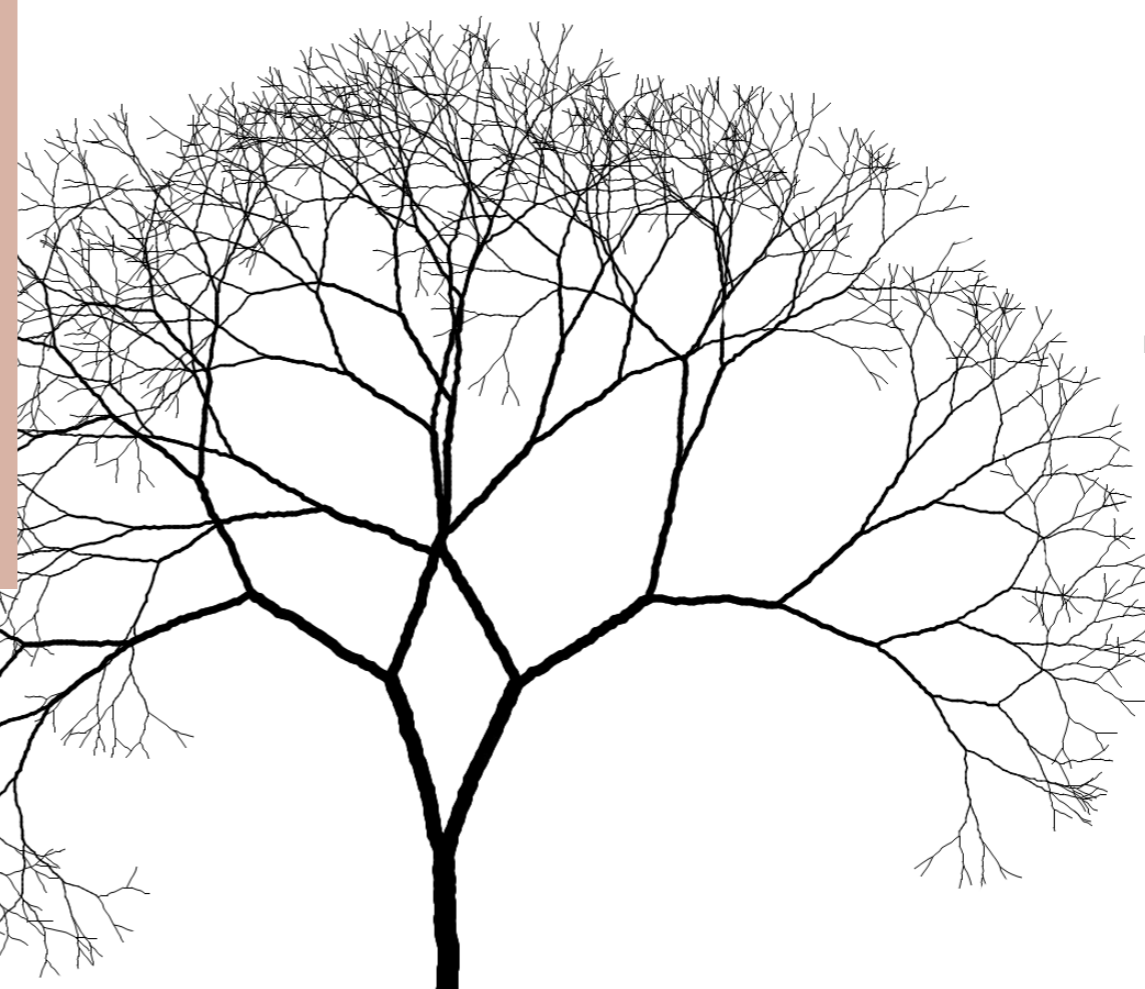
Historie z powstania 1863

56

Tragiczny koniec 1829 roku – kronika kryminalna z Żurawicy

58

Maiorum... humorum, czyli genealogia z przymrużeniem oka ;-)



> Zofia M. Jakóbczak

“Bieżeństwo było jednym z tematów rodzinnych opowieści”

- Aneta Prymaka-Oniszk

Szli dzień i noc. Wszyscy. Bez względu na wyznanie i wykonywany zawód. Największy exodus XX wieku opisała Aneta Prymaka-Oniszk. Jak rodzinne opowieści przyczyniły się do napisania książki? I czy z okruczeń bieżęńskiej historii można zbudować własną tożsamość?

Wiem to i z lektury książki, i z różnych wypowiedzi o okolicznościach jej powstania, że opowieści o przeszłości rodziny były obecne w pani domu.

Wychowałam się na wsi, gdzie codzienność była przesycona opowieściami z przeszłości. Wystarczyło spotkanie – święta, ślub, pogrzeb, czy też wspólna praca przy wykopkach albo żniwach – by popłynęły wspomnienia. Lubiłam słuchać, coś z tego zostawało w mojej głowie i potem się odzywało, gdy pojawiły się pytania o tożsamość.

Bieżeństwo było jedną z tych najwcześniejszych wspomnień. Opowiadała o nim babcia Nadzia, która jako młoda dziewczyna w 1915 roku z podlaskiej wsi trafiła na Kaukaz. Nie była

to historia skierowana do mnie. Babcia rozmawiała z sąsiadkami, rodziną, a ja słuchałam przy okazji. Zostały mi w głowie szczątki obrazków: step, góry mające na horyzoncie, arbuzy i winogrona oraz zboże sypane do rzek i trupy wynoszone z pociągu.

Jak te, opowiedane przez babcię i ciocię, sąsiadów i ich bliskich, historie wpłynęły na budowanie własnej tożsamości, w kontekście odtwarzania historii rodziny i tworzenie drzewa genealogicznego?

Babcia umarła jak miałam 7 lat, ale do mnie te obrazki wracały, głównie w przełomowych momentach życia. Niewiele z nich rozumiałam, trudno je było wpasować w historię. W szkole o bieżęństwie niewspominano, ▣



ANETA PRYMAKA-ONISZK – dziennikarka, publikowała w *Gazecie Wyborczej*, *Polityce*, *National Geographic*, miesięczniku *Karta*.

Pochodzi z Knyszewicz (podlaskie); na co dzień mieszka w Warszawie. Opowieściami z bieżęństwa nasiąkała zanim umiała je zrozumieć. Gdy zrozumiała i chciała o tym rozmawiać – zabrakło opowiadających bieżęńców.

21 września 2016 roku nakładem wydawnictwa Czarne ukazała się reporterska książka Anety Prymaki-Oniszk: *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*.

Foto: spotkanie autorskie, Lublin 11 maja 2017



> Rejestracja bieżenców

podobnie jak w muzeach regionalnych, w ówczesnych mediach. Nie wiedziałam, kiedy dokładnie, kto, po co, dlaczego? Ale nie potrafiłam zapomnieć, jakby ta historia miała mi coś do powiedzenia.

Gdy podjęłam temat bieżęstwa, zaczęłam rozmawiać z ludźmi, czytać, szukać dokumentów, w końcu założyłam portal biezenstwo.pl. I ta historia jakby zaczęła mówić. Nie tylko do mnie i nie tylko w moim imieniu. Nagle okazało się, że o zapomnianym na pozór bieżęstwie, dokładnie 100 lat po wydarzeniu, zaczynają powstawać spektakle teatralne, filmy, wystawy, pantomimy, opowiadania szkolne; że tysiące ludzi chce zbadać bieżęńskie losy swoich rodzin. Zaczęto dostrzegać wpływ bieżęstwa na wygląd podlaskich wsi, na ludową muzykę, na mentalność. Stało się ono elementem budowy tożsamości wielu ludzi.

Jak odtworzyć historię rodziny z tak skąpych relacji i niewielu materiałów archiwalnych, które mogłyby rzucić więcej światła na losy rodziny?

Z dokumentami jest trudno zwłaszcza w rodzinach chłopskich, a to głównie ich dotyczyło bieżęstwo. Przed frontem uciekali też ziemianie, ale ich los był inny – został zresztą dobrze udokumentowany. Wśród chłopów zwykle prawie nic z tamtego okresu się nie zachowało. Tak było w przypadku mojej rodziny.

Zacząłam od słuchania rodzinnych opowieści. Wielokrotnie powtarzanych długich rozmów. I niekiedy nie od najstarszych dowiadywałam się najwięcej. Poszłam np. do ciotki Szury, urodzonej w 1921 roku na Kaukazie, która zresztą pojawia się w mojej książce. Jej umysł, mimo wieku, pracował wspaniale, ale ciocia nie miała temperamentu opowiadacza i trudno było z niej cokolwiek wydusić. Za to jej młodsza siostra – rocznik 1933 – z rodzinnych opowieści zapamiętywała mnóstwo, zwłaszcza tych krwistych, miłosnych.

Rozmawiałam również z dalszymi krewnymi i sąsiadami. Najważniejsze historie o powrocie babci Nadzi z malutką ciotką Szurą na rękach usłyszałam przypadkiem od żony wujka, o której nie myślałam, że coś wie.

Jej teściowa – młodsza siostra mojego dziadka, jechała razem z nimi w wagonie i była wrażliwą, uważną obserwatorką. A tego, gdzie dokładnie trafiła moja rodzina, dowiedziałam się od sąsiada, pana Koli, rocznik 1943. Jego rodzina była w bieżęstwie razem z moją, cała wieś zresztą trzymała się razem.

Jak połączyć te wszystkie fakty przykazywane przez tyle osób?

Oczywiście byłam świadoma, że są to opowieści z drugiej albo trzeciej ręki, a nasza pamięć jedne fakty zapamiętuje, inne zapomina, coś umniejsza, a coś wyolbrzymia, miesza, nakłada na siebie. Czasem od różnych osób słyszałam przeczące sobie opowieści. Ale świadome słuchanie jak najszerszego grona rozmówców, było doskonałym punktem wyjścia do dalszych poszukiwań. Odwiedzałam też cmentarze. Kto tam leży? Dlaczego nie ma grobów części rodziny, jak rodziców mojej babci Nadzi? Jak się okazało, umarli w bieżęstwie.

Dość szybko rozumiałam, że przez ubogłość dokumentów, brak listów, pamiętników, zapisków historia mojej rodziny czy nawet wsi pozostanie fragmentaryczna. Tylko na jej podstawie nie zrozumieję złożoności bieżęńskiego losu. Stworzyłam więc zbiorowy portret bieżęńców, na który składały się fragmenty historii różnych ludzi, których los był przecież w tym czasie dość uniwersalny. I ten zbiorowy portret pozwala mi lepiej zrozumieć doświadczenie choćby mojej babci. Ale także to, jak może ono wpływać na dalsze pokolenia, także na mnie.

Czy zastanawiała się pani, jak potoczyłyby się losy pani przodków, ich sąsiadów, gdyby nie nastąpił exodus 1915 roku?

Nie przyszło mi to do głowy. Przejęłam tu chyba sposób myślenia moich

przodków, należących do kultury tradycyjnej chłopów, gdzie takie pytania się nie mieściły. Oni nawet za bardzo nie pytali, dlaczego bieżęństwo się zdarzyło ani kto jest winien. Widocznie musiało tak być. I tyle. Trzeba było żyć dalej. Tego człowiek współczesny nie pojmuje – my pytamy o winnych i o alternatywne historie.

Czy często zwracają się do pani odwiedzający stronę biezenstwo.pl z zapytaniem o to, czy podczas kwerendy do książki nie natrafiła pani na takie czy inne nazwisko?

Na konkretne nazwisko albo na konkretną wieś. Od czasu, gdy w 2014 roku uruchomiłam portal biezenstwo.pl, ludzie często piszą z takimi pytaniami. Z nazwiskami sprawa jest trudniejsza, ale jeśli chodzi o miejscowości – wielokrotnie udawało mi się wskazać ciekawy trop: inne wspomnienia z tej samej wsi albo kontakt do innych poszukujących dziejów rodziny z tej samej miejscowości. Często bieżęński los był wspólny dla całej wsi: jechali razem, trafiali w to samo miejsce, wspólnie wracali. Marzy mi się, by wszystkie nadesłane przez ludzi wspomnienia ułożyć na stronie biezenstwo.pl miejscowościami – tak, by wszyscy mogli z nich korzystać.

Jest może w pani, ale także w potomkach bieżęńców taka wewnętrzna, nadrzędna wręcz, potrzeba, by pojechać do miejsc, do których trafili ich przodkowie?

Znam ludzi, którzy pojechali. Przykładem niech będzie fotograf Paweł Grześ. Wybrał się do Władywostoku, bo tam w bieżęstwie była jego rodzina. Zastanawiał się ak oni, prości chłopcy, przejechali te 10 tys. km, gdy kolejne pokolenia, już wykształcone, jechały co najwyżej do Warszawy czy Mińska. Na miejscu stwierdził, że mu ulżyło, jakby

zamknął jakiś rozdział. Jego historię zresztą przytaczam na swoim portalu.

Ja trochę podróżowałam za pomocą Google Maps. Pamiętam swoje wzruszenie na widok cerkwi w Donskoje – prawdopodobnie tam moi dziadkowie wzięli ślub. Chętnie bym tam pojechała, choć dziś nie jest to nadrzędna potrzeba. Ale kto wie – może kiedyś taką się stanie? Moją córkę nieświadomie nazwałam imieniem mojej prababci, która zmarła w Donskoje. Może kiedyś razem tam pojedziemy?

Czy w rodzinach, w których przodkowie doświadczyli bieżęstwa, mówi się o tym fakcie? A może krewni starają się „wymazać” te wydarzenia z rodzinnej przeszłości?

W różnych rodzinach bywa różnie. Na wschodniej Białostocczyźnie, gdzie bieżęńcy jechali całymi wsiami, ta historia po powrocie wciąż była opowiadana przy

czyło to ludności ruskiej, dziś powiedzielibyśmy ukraińskiej. Po II wojnie światowej, po akcji Wisła, ludzie często bali się wspominać o przeszłości nawet w rodzinach, nie przekazywali jej kolejnym pokoleniom. W przestrzeni publicznej ten temat zresztą też nie istniał.

W książce przywołuje pani nieliczne i skąpe relacje, które zostały spisane przez bieżęńców lub historie spisane z opowieści, wiele lat po ich powrocie w rodzinne strony. Dla genealogów ważne jest jednak, czy są dostępne archiwalia, zarówno w archiwach polskich, jak i rosyjskich, białoruskich czy ukraińskich, w których zachowały się jakiegokolwiek wykazy nazwisk, miejscowości, z których pochodzili bieżęńcy, a które dziś mogłyby ułatwić poszukiwania genealogiczne?

Archiwa są, ale dotarcie do nich nie zawsze jest łatwe. Przed rewolucją były

bieżeństwo dotknęło głównie rodziny chłopskie

każdej okazji. Częściej rozbrzmiewała przygodowa opowieść o dalekiej podróży, wojnie i walkach podczas rewolucji, najczęściej snuta przez mężczyzn, w dużym gronie. Rodzinne traumy: o śmierci dzieci, o zdobywaniu jedzenia, najczęściej opowiadały sobie kobiety, w mniejszym gronie, często przy pracy.

Inaczej rzecz się miała np. na dzisiejszej Lubelszczyźnie. Stąd też często pojechały całe wsie, ale głównie doty-

tworzone listy adresowe bieżęńców. Do jej wybuchu wydano 3 tomowe spisy pt. *Spisok adresow biezenцев, wyp. 1-3, Moskwa 1916*, które zawierają ok. 50 tysięcy rodzin, czyli niewielką ich część. Zachował się również spis poszukiwanych przez krewnych bieżęńców. Są one dostępne w dużych rosyjskich bibliotekach albo archiwach – przeglądałam je w bibliotece narodowej w Petersburgu. Natomiast w Internecie dostępna jest prawdziwa perełka dla tych, których

rodziny trafiły na południową część Syberii. Ówczesna gubernia tomska wydała kompletny spis bieżenców ze swojego regionu ([link](#)). Szczęście mają też badacze losu bieżenców z guberni Niżnonowogrodzkiej – dwie rosyjskie emerytki założyły stronę ([link](#)) i wynajdują tam ciekawe dokumenty dotyczące bieżenców z tego regionu.

A władze polskie i rosyjskie poczyniły jakiegokolwiek listy bieżenców, którzy zmarli w drodze?

Nie, władze nie miały pojęcia, ile osób zmarło w drodze, nie mówiąc już o ich listach. To był chyba najtragiczniejszy moment uchodźstwa. Zmarłych nikt nie rejestrował, bardzo często byli oni zostawiani przy drodze bez grzebania. Nawet jeśli zostali pogrzebani przy drodze, fala idących ludzi i pędzonych przez nich zwierząt zmiatała niemal wszystko i szybko po grobie nie pozostawał nawet ślad.

Jakie powinny być pierwsze kroki osoby, która chciałaby ustalić losy bieżenca?

Należy ustalić podstawowe fakty w rodzinnym przekazie: kto, gdzie, kiedy, czyli rozmowa z tymi, którzy coś zapamiętali. Warto porozmawiać z innymi ludźmi we wsi, przejść się na cmentarz, sprawdzić dokumenty w parafiach. Ale też przeszukać „polski” i „rosyjski” Internet – czasem przypadkiem zdarza się coś odnaleźć w artykułach czy książkach o bieżenstwie. Zdarzało się, już po wydaniu mojej książki, że ktoś odzywał się z informacją, że jeden z moich bohaterów to ich krewny, ale o opowiedanej przez niego historii nie mieli pojęcia.

Zapewne dokumentacja, która zachowała się o bieżencach jest bardzo niepełna. Gdzie mogą znajdować się bardziej szczegółowe archiwalia?

Ona jest rozproszona w wielu miejscach i bardzo zróżnicowana. Część dokumentacji dotyczących polskich organizacji pomocowych, jak np. Centralnego Komitetu Obywatelskiego,

znajduje się w Warszawie w Archiwum Akt Nowych.

Dokumentacja organizacji pomocowych, z formularzami, wypełnianymi przez bieżenców podczas rejestracji i z podaniami w różnych sprawach (kopalnia ludzkich historii), znajduje się jednak przede wszystkim w miastach dawnego Imperium Rosyjskiego – tam, gdzie znajdowali się poszczególni uchodźcy. Warto tam napisać i dowiedzieć się, czy udostępniają takie materiały.

Z jakich źródeł, oprócz rozmów z bieżencami, korzystała pani w trakcie przygotowywania książki?

Zależało mi, by dotrzeć do relacji bieżenców-chłopów spisanych jeszcze przed wybuchem rewolucji. Wiedziałam, że nie będzie to łatwe – chłopcy raczej nie pisali pamiętników, ale udało mi się takie znaleźć. Największa organizacja pomagająca bieżencom, Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany, zachęcała ich do spisywania swoich relacji, wysyłała też – jak byśmy dziś powiedzieli – wolontariuszy, by notowali ich opowieści. Pięć takich relacji, wspiana-

łych, opublikowano przed wybuchem rewolucji.

Czytałam też biuletyny organizacji pomocowych, gdzie znajdowałam np. sprawozdania przewodników pociągów wiozących bieżenców, bardzo obrazowe i poruszające. Przeglądałam ówczesną prasę, zarówno tę codzienną, jak i czasopisma. Znajdywałam tam prawdziwe perełki – jak np. analizę listów wysyłanych przez bieżenców do organizacji pomocowych, z bogatymi cytatami. Przeglądałam też dzienniki ziemian, którzy również uciekali przed frontem w 1915 roku. Ich perspektywa i los była zupełnie inne niż chłopów, ale zyskiwałam szersze spojrzenie. Udało mi się też dotrzeć do pamiętników chłopów spisywanych w 20.-leciu międzywojennym oraz później.

Jak udało się pani dotrzeć do rodzin bieżenców?

To akurat było łatwe – sama z takiej rodziny pochodzę, ogromna część moich znajomych i przyjaciół z Podlasia również. Poza tym jeździłam po wsiach i rozmawiałam. Nieocenionym

źródłem kontaktów był dla mnie też portal bieżenstwo.pl. Dzięki niemu nawiązałam relacje z wieloma rodzinami, dostałam też mnóstwo wspólnych historii.

Według mnie największą ofiarą exodusu padły dzieci. Fotografie „bieżeńskich” sierot, które straciły rodziców i najbliższych krewnych towarzyszyły mi jeszcze długo po skończonej lekturze. Czy zdarzały się przypadki „odnalezienia się” po latach?

Zdarzało się, że już w Rosji, po osiedleniu się, rodzice znajdowali swoje dzieci, choć nie były to częste sytuacje. Znam też historię, że w trakcie powrotu na swoją ziemię trójka dzieci chora na tyfus została w różnych rosyjskich szpitalach i ich starsza siostra, jedyna, która wróciła z rodzicami, po latach szukania odnalazła ich i sprowadziła do rodzinnej wsi.

Są też opowieści o późniejszych odnalezieniach, gdy zagubiony w bieżenstwie syn albo brat nagle w czasie II wojny światowej przychodzi na swoje ziemie wraz z Armią Czerwoną. Zwykle to dziwne opowieści, brzmiały mało wiary-

godnie – np. kobieta opiekuje się ciężko rannym, przypadkowo przywiezionym do wioski żołnierzem, a gdy on umiera, mówi wszystkim, że to był jej zostawiony w Rosji syn. Mam wrażenie, że nie tyle mówią o prawdziwych odnalezieniach, ile raczej pozwalają opowiadającym poradzić sobie z trwającym przez całe lata bólem po stracie dziecka czy rodzeństwa.

Czy w tych dzieciach, które zostały „po drodze” w tworzonych naprędce szpitalach lub ochronkach, została świadomość tego, skąd się pochodzi, kim byli rodzice, jakaś namiastka polskości?

Pamięć o korzeniach, jeśli ktoś trafił do sierocińca, była mało prawdopodobna. Za chwilę przyszły czasy sowieckie i tam kształtowano nowego człowieka, bez korzeni, w zaprzeczeniu tradycji. Jednakże polskie organizacje starały się polskie dzieci po 1915 roku wyciągnąć i umieszczać w swoich sierocińcach, wiele z nich przed 1924 rokiem trafiło do II Rzeczypospolitej. One jednak nie otaczały opieką dzieci, wprawdzie pochodzących z terenów dziś należących do Polski, ale z ludności ruskiej – dziś powiedzielibyśmy białoruskiej lub

> Bieżenicy w drodze, rok 1915



ukraińskiej, i pozostawały pod opieką rosyjskich sierocińców.

Ogólnie rzecz biorąc musimy pamiętać, że z tą polskością to nie jest taka prosta sprawa, jak dziś automatycznie myślimy. Zdecydowana większość bieżenców z ziem dziś należących do Polski nie mówiła po polsku (ale w gwa-

rach białoruskiego czy ukraińskiego) i nie czuła się z polskością związana. Zresztą nawet dla chłopów z Mazowsza niekoniecznie ta polskość znaczyła to samo, co dla nas, wychowanych na Rocie i wozie Drzymały. Ta praca u podstaw, robiąca z chłopów polskich patriotów dopiero się zaczynała i taki człowiek raczej tęsknił za swoją ziemią

i normalnym życiem, niż za państwem polskim, które było dla niego abstrakcją.

Wróćmy jeszcze na chwilę do fotografii – te, których w książce jest niezliczona ilość, pochodzą z archiwum w Sankt-Petersburgu, zachowane jako dokumentacja działalność Komitetu Księżnej Tatiany, lub zbiorów bibliotecznych, muzealnych czy też archiwów rodzinnych, są dziś namacalnym dowodem na istnienie i skalę bieżęństwa. Czy zdarzyło się, by dzięki tym fotografiom, ktoś się odnalazł, bo rozpoznał swoich przodków?

Nie dotarły do mnie takie wiadomości. Nie bardzo spodziewałam się też takich odkryć. Ci ludzie na zdjęciach to nasi prapraprzodkowie. Kto z nas wie, jak wyglądała prababcia? Albo nawet babcia jako dziecko? Ja sama zdjęcie dziadka, który umarł w 1971 roku, zobaczyłam dopiero niedawno, w naszym domu nie zachowała się żadna jego fotografia. Nie mam żadnych zdjęć babci Nadzi z młodości. Trudno więc ich twarze szukać na zdjęciach bieżenców. Ale ludzie wpatrują się w te zdjęcia z wielkimi emocjami. „To przecież mogła być moja prababcia” – mówią.

Miałam natomiast inną historię. Napisał do mnie człowiek, mieszkający już w Warszawie, z pytaniem o losy jego rodzinnego Uścimowa. Nie znałam ich, podesłałam mu więc dwa artykuły dotyczące bieżęństwa z okolic Włodawy. On za chwilę napisał, że w jednym z tych tekstów znalazł zdjęcie z jego Uścimowa. I że jedna z kobiet na zdjęciu ma rysy twarzy ludzko przypominające jego matkę z młodości i uśmiech bardzo podobny do uśmiechu jednej z ciotek. Pojechał potem z tym zdjęciem właśnie do matki i owych cioć. Okazało się, że na zdjęciu są jego przodkowie.

> Imienny spis bieżenców przebywających w Kaludze chcących wyjechać do ojczyzny z sierpnia 1918 roku

Czy bieżęństwo jest dziś traktowane jak swego rodzaju „piętno”? Pytam, zupełnie nie w pejoratywnym znaczeniu tego słowa, mam na myśli to, czy bieżęństwo ma wpływ na młode pokolenie – wnuków i prawnuków bieżenców?

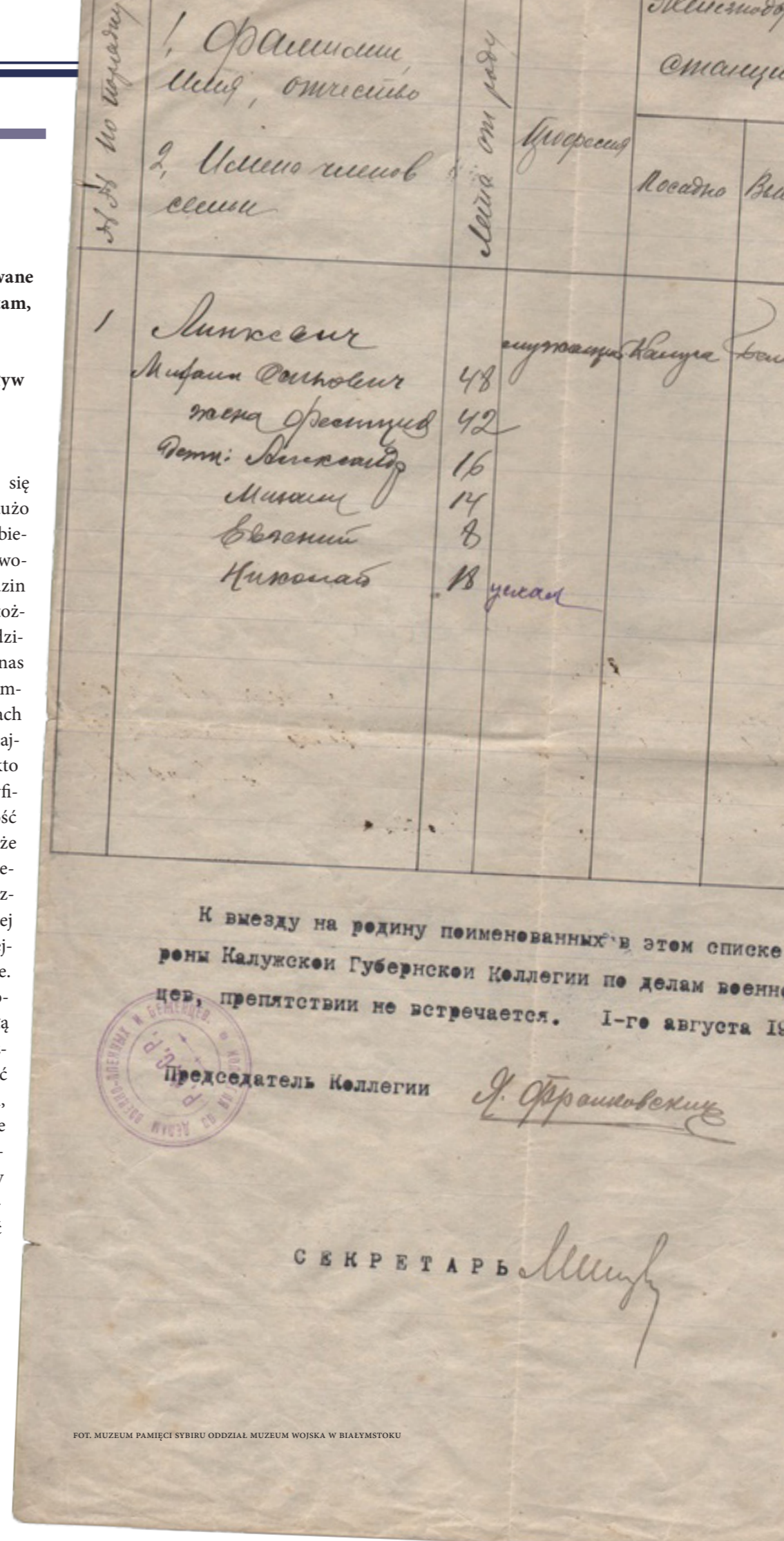
Na Podlasiu bieżęństwo stało się obecnie wręcz modne – bardzo dużo młodych ludzi szuka swoich bieżęńskich korzeni. Dla tych wywodzących się z białoruskich rodzin stało się one podstawą budowy tożsamości. I nie ma co się temu dziwić – historia chłopów nie jest u nas zbyt ciekawie opowiadana: ciemny lud siedzi w ludowych strojach pod strzechą i w łapciach, i co najwyżej piosenkę zaśpiewa. Mało kto chce się z takim obrazem identyfikować. Nie bez powodu większość dzisiejszych Polaków opowiada, że ich dziadek miał dworek na Kresach i buduje tożsamość wyłącznie na szlacheckiej i ziemiańskiej historii. Ale w przypadku mniejszości narodowych jest to trudne. Bieżęństwo pokazuje, że ci chłopcy mieli swoją historię, wspaniałą i egzotyczną, choć czasem tragiczną, wpisaną w wielką opowieść o I wojnie światowej. Owszem, ludzie cierpieli i umierali, ale przecież przetrwali. Dali radę – mimo że były to często kobiety z gromadką małych dzieci – wrócić na swoją ziemię, odbudować dom, wychować kolejne pokolenie i kształcić je. W tej opowieści jest siła, determinacja, odwaga. Do takiej opowieści nie wstyd się przyznać, można być z niej wręcz dumnym. I – mam wrażenie – sporo ludzi jest. ■

REPORTAŻ

Aneta Prymaka-Oniszk BIEŻĘNSTWO 1915 Zapomniani uchodźcy



FOT. ARCHIWUM WŁASNE



FOT. MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU ODDZIAŁ MUZEUM WOJSKA W BIAŁYMSTOKU

**genealogiczna
pracownia**

**Mariusza
Zebrrowskiego**



zapraszamy do

<<GenoGalerii>>

> Alan Jakman

Bohdan Smoleń – potomek przedsiębiorców i górali

Gdyby żył, Bohdan Smoleń skończyłby właśnie 70 lat. Urodził się w Bielsku, mówił, że ojciec pochodzi „stąd”, z kolei matka jest krakowianką. Jednak pochodzenie Smolenia jest znacznie ciekawsze. Przez Włochy, Węgry, Polskę i Ukrainę, dopiero docieramy do Bielska.

Bohdan Smoleń urodził się 9 czerwca 1947 roku w Bielsku (ob. Bielsko-Biała). Zaledwie kilka lat po urodzeniu – w roku 1951, niegdyś austriackie Bielsko zostało połączone w jedno miasto z galicyjską Białą. To tutaj Smoleń spędził dzieciństwo oraz – jak mówił w wywiadzie dla portalu bielsko.biala.pl, pił pierwsze wino i palił pierwsze papierosy. W tej samej rozmowie przyznał, że jego ojciec był bielszczaninem, ale już matka pochodziła z Krakowa. A korzenie naszego bohatera, w szczególności te po kądzieli, mają mnóstwo zwrotów akcji. Pójdźmy zatem tropem antenatów Smolenia.

Bronisław i Elżbieta Smoleniowie – rodzice Bohdana, mieszkali przy ulicy Celnej w Bielsku – niedaleko dzisiejszej Starówki – tuż nad komisariatem milicji. Z ich okien doskonale było widać, kogo wyprowadzają, a kogo przyprowadzają mundurowi. W ich domu rodzinnym powstała grupa poetyc-

ka „Skarabeusz”. Bowiem matka – nazywana jako dziecko „Lalą”, a później „Panią Lalą”, obracała się w kręgach poetyckich. Jako choreograf – tancerka w teatrze, miała kontakt z lokalnymi artystami. Oprócz tego uczyła także języków obcych. Po latach Smoleń wspominał, że organizowała różne spotkania. Zapraszała np. przedstawicieli kilku religii i każdy mówił o tym, jak ją rozumie i interpretuje. Tworzyła także wiersze i napisała nawet program dla Kabaretu „Pod Budą” *Tyle ruchu, a tu stop, czyli Sensacyja w Dojkach Wielkich*.

Dziadek rymarz

Bronisław – ojciec Bohdana, pracował w Zakładach Przemysłu Włókienniczego „Lenko”. Przez dziesięć lat wychodził do pracy – nigdy nie pomylił, czy ma zmianę ranną, czy popołudniową. Dopiero przypadkowo okazało się, że od tych dziesięciu lat już tam nie pracuje. Czym zajmował się przez ten czas i skąd miał pieniądze na utrzymanie rodziny? Do tej pory nie wiadomo.

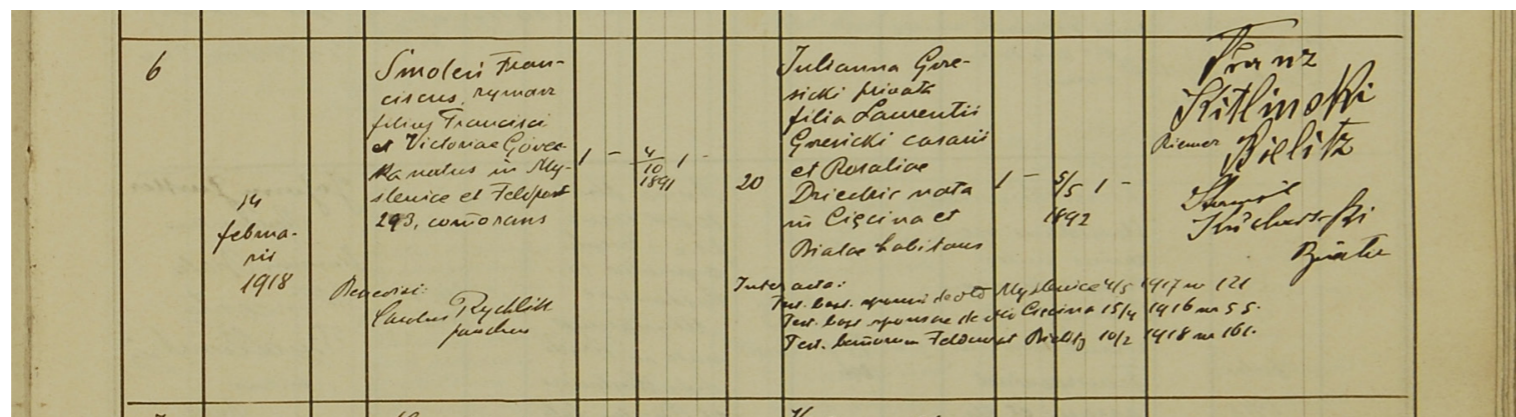
To matka poświęcała Bohdanowi więcej czasu – ojciec „zajmował się swoimi sprawami”. Pobrali się zaledwie kilka miesięcy przed jego narodzinami. On miał 28 lat, ona była o 7 lat młodsza. Pójdźmy wpierw tropem Smoleniów...

W maju 1919 roku, w parafii Opatrzności Bożej w Białej, urodził się Bronisław Karol Smoleń – ochrzczony niespełna miesiąc później. Jego ojciec – Franci-

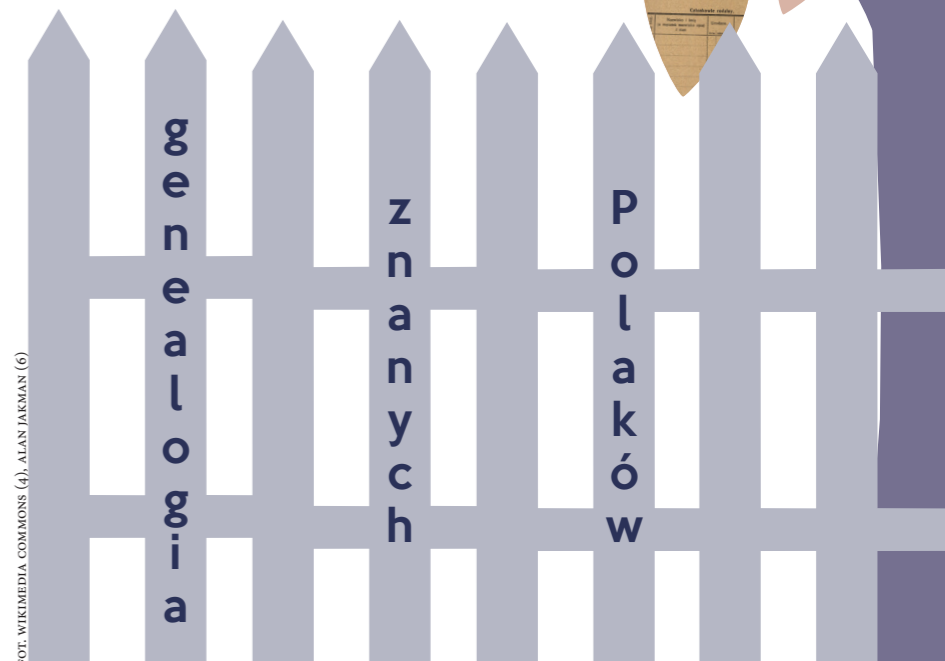
szek, był rymarzem, matka Julia Grzesicka zajmowała się domem. Mieszkali w samym centrum Białej, w kamienicy przy ulicy Szkolnej 4. Zaledwie 150–200 metrów dalej znajdował się kościół. Jeszcze kilka lat temu, niedaleko ich domu, znajdowały się dwa zakłady rymarskie, istniejące, jak mawiali mieszkańcy, „od wieków”. Czy w którymś z nich mógł pracować Franciszek?

Więcej informacji na temat pradziadków Bohdana Smolenia – a rodziców Franciszka – rymarza, przynosi nam akt jego ślubu. 14 lutego 1918 roku, również w białskiej parafii, wierność przysięgali sobie Franciszek Smoleń – rymarz, syn Franciszka i Wiktorii Góreckiej urodzony w Myślenicach

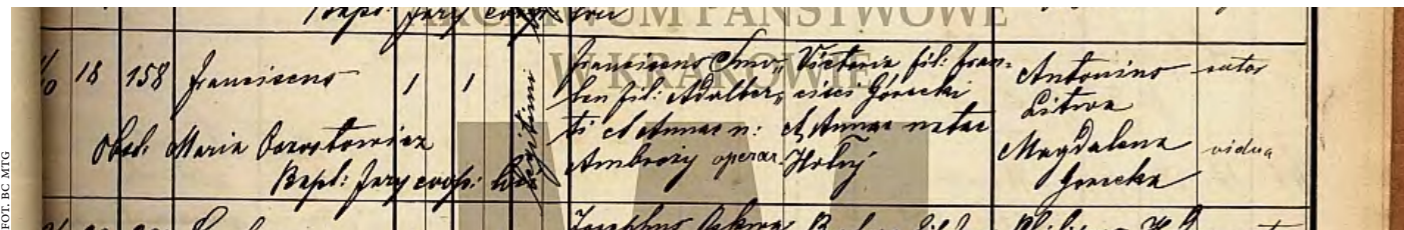
> Akt ślubu Franciszka Smolenia i Julianny Grzesickiej, rok 1918, parafia w Białej



FOT. PRYWATNE ARCHIWUM LUKASZA KOMINIĄKA



FOT. WIKIMEDIA COMMONS (4), ALAN JAKMAN (6)



> Akt urodzenia Franciszka Smolenia – dziadka Bohdana, rok 1891, parafia w Myślenicach

w 1891 roku oraz o rok młodsza Julianna Grzesicka – córka Wawrzyńca i Rozalii Dziedzic urodzona w Cięcynie. Małżeństwo to poświęcił ksiądz Karol Rychlik.

Linia Smoleniów się urywa...

Smoleniowie nie pochodzili więc „z dziada pradziada” z Białej. Najbliższą stolicą Podbeskidzia była miejscowość babki Bohdana – Julianny. W księgach urodzeń z Cięciny, pod numerem 45, odnotowano jej chrzest. Urodziła się 5 maja. Jej ojcem był Wawrzyniec – siewca, nieślubny syn Marianny; matką zaś Rozalia – córka Macieja Dziedzica – rolnika, oraz Jadwigi Suchanek. Kiedy w 1838 roku Adam Wielopolski postanowił w pobliskiej Węgierskiej Górce postawić hutę żelaza, której budowę dokończył Karol Ludwik Habsburg, zatrudnienie w niej znalazło wielu mieszkańców Cięciny. Inwestycja przyczyniła się ona znacznie do rozwoju tej miejscowości. Warto zaznaczyć, że obok Gilowic, Lipowej i Radziechowej, jest to najstarsza wieś na Żywiecczyźnie. W 1308 roku była osadą liczącą 150 osób, a w kronikach watykańskich z połowy XIV wieku wymieniona została jako parafia posiadająca swój kościół.

Wróćmy jednak Smoleniów. Bowiem w księgach z 1891 roku z Myślenic niedaleko Krakowa, znajdujemy akt urodzenia Franciszka – syna Franciszka, wnuka Wojciecha i Anny z Ambrożych

– wyrobników, oraz Wiktorii, córki Franciszka Góreckiego i Anny Hołej. Było to najprawdopodobniej najstarsze dziecko tej pary. W 1895 roku urodził się syn Karol – warto zaznaczyć, że w tej metryce nazwisko babki ojczystej brzmi Ryba, a w 1899 córka Antonina – wnuczka Anny Rybki.

Korzenie w... Budapeszcie

Znacznie ciekawsza jest jednak genealogia i historia rodzinna ze strony mamy Bohdana Smolenia – Elżbiety Barkan. Już samo nazwisko wskazuje na niepolskie pochodzenie tej rodziny. Sam Smoleń mówił, że pradziadek był Włochem, zaś prababka mieszkała w Wiedniu. Ich imiona nie są znane, jednak zawiła historia tej rodziny, rekompensuje brak tych danych.

W książce *Niestety wszyscy się znamy* autorstwa Anny Karoliny Kłys i Bohdana Smolenia, poznajemy ciekawe, lecz bardzo tragiczne losy Barkanów i Turrych. Rodzice „Pani Lali”, a więc dziadkowie naszego bohatera – Józef Barkan i Elwira Turry, pobrali się... na Ukrainie! Zaczniemy jednak tę opowieść od początku.

Kiedy pod koniec XIX wieku w Budapeszcie poznali się pradziadkowie Smolenia – wcześniej wspomniany Włoch i Austriaczka, wzięli ze sobą ślub. Nie wiadomo, dlaczego znaleźli się w stolicy Węgier, ale to tam mieszkali i poczęli swoje dzieci. Mieli trzy córki: Gizelę, Elwirę – babkę Bohdana, oraz Etełkę, a także jedyne go syna Bericsa. Nikt nie spodziewał się tego, jak potoczą się ich losy.

Państwo Turry zmarli bardzo szybko – młodszym rodzeństwem musiała opiekować się najstarsza siostra – Gizela. Była niesamowicie uzdolniona – znała kilka języków, miała piękny głos. Jako śpiewaczka w budapesztańskiej filharmonii, poznała fletistę – Władysława Czecha, Polaka pochodzącego z Bielska. Para zakochała się i zamieszkała w Budapeszcie, wspólnie zajmując się młodszym rodzeństwem Gizeli. Jednak trudna sytuacja dla artystów na Węgrzech, wzmogła chęć powrotu Czecha na ojcowiznę. Wrócił na południe Polski i zaczął szukać pracy. Znalazł ją w krakowskiej orkiestrze. Natychmiast do stolicy Małopolski sprowadził rodzinę – Gizelę, swoje dzieci, oraz rodzeństwo swojej żony.

Miłość na Ukrainie

Gizela bardzo odpowiedzialnie podeszła do tak trudnego zadania, jak wychowanie rodzeństwa. Wykształciła swoje młodsze siostry, a także brata Bercisa, który całe życie spędził w Budapeszcie, będąc zatrudniony w tamtejszej filharmonii.

Jednak uciecha z ucieczki przed kryzysem nie trwała długo. Dotarł on także do Krakowa i Władysław musiał zmienić pracę – został jazzmanem. Przeprowadził się wówczas do Zakopanego. W tym czasie młodsza siostra Gizeli – Elwira, babka Bohdana, została wysłana do szkoły krawieckiej na Ukrainie. A zza wschodniej granicy nie wróciła sama.

Już jako pani Barkan przyjechała z Józefem – bogatym przemysłowcem. Jego pochodzenie nie jest do końca znane. Być może pochodził z Połocka na dzi-

siejszej Białorusi. Według listy zmarłych więźniów w Auschwitz urodził się tam w 1887 roku. Drugie imię – Israel, może sugerować, że był wyznania mojżeszowego. Faktem jednak jest, że był na tyle bogaty, iż umożliwił spełnienie marzeń swojej żony. Elwira założyła zakład krawiecki – zatrudniała 20 szwaczek, a pracownia mieściła się w kamienicy przy Rynku Głównym w Krakowie. Wieść niesie, że Barkanowa była wówczas jedna z najlepiej ubranych kobiet w Krakowie. Józef prowadził swoje interesy w branży tekstylnej, posiadał także własną fabrykę w Łodzi. W 1926 roku parze urodziła się córka Elżbieta – późniejsza mama Bohdana, nazywana przez rodziców „Lalą”.

Auschwitz i Ravensbrück

Jednak wybuch II wojny światowej zrównał wszystkich – i tych bogatych, i biednych, zaradnych i niezaradnych. W 1942 roku z ulicznej łapanki do

Auschwitz-Birkenau trafia Józef. Od tego momentu Elwira próbuje wszelkimi sposobami, by załatwić zwolnienie z obozu dla swojego męża. Nadal szyć ubrania – jednak teraz dla Niemców, w szczególności dla żon nazistowskich oficerów. Przez ich protekcję próbuje dotrzeć do męża. Niestety, nie udaje się jej. Ciężka zima 1943 roku, trud obozowych warunków przyczyniły się do rychłej śmierci Barkana. Kiedy w styczniu tego roku półprzymotny padł na ziemię, na rozkaz i ku uciechu obozowych strażników, został na śmierć zastrzelony przez współwięźniów.

To jednak nie koniec tragedii w rodzinie Barkanów. Kiedy ze szkoły do domu wracała Elżbieta, ktoś zatrzymał ją i powiedział, by nie wracała do domu. Tak też zrobiła. Okazało się, że do mieszkania Elwiry wkroczyło Gestapo. Jedna ze szwaczek doniosła, że Barkanowa ukrywa żydowskie dziecko. Kara mogła być tylko jedna – obóz.

W bydłych wagonach trafiła do największego kobiecego obozu zagłady – Ravensbrück. Tam dotrwała jego zwolnienia w kwietniu 1945 roku. Jednak zaraziła się tyfusem i nie mogła wrócić do kraju. Postanowiono przewieźć ją – razem z innymi chorymi – do szwedzkiego szpitala. Nie wiadomo czy przeżyła – ślad po niej zaginął.

W czasie wojny osierocona Elżbieta przebywała pod opieką obcych ludzi. Przeżyła wojnę i tuż po niej została adoptowana przez Władysława i Gizelę Czechów. Cała rodzina przeniosła się do Bielska i tak Elżbieta – potomkini Włochów i Austriaków, poznała Bronka Smolenia – syna rymarza i potomka górali z Cięciny. A z tego związku wkrótce narodził się bohater tego artykułu – Bohdan Smoleń, rozbawiający przez lata pokolenia Polaków. **M**

Skrócona wersja artykułu ukazała się w portalu bielsko.biala.pl.



FOT. ROGER GOR, WIKIMEDIA COMMONS

> Ewa Busse-Turczyńska

Self-publishing w genealogii. Jak wydać własną książkę?

W miarę zbierania informacji o swoich przodkach, budowaniu coraz to większego drzewa genealogicznego, nastaje moment, w którym warto spisać zebrane dane. Idealnym sposobem jest wydanie książki o losach antenatów. Jak to zrobić metodą self-publishingu?

W 2014 roku przypadkiem znalazłam ciekawe materiały na temat historii mojej rodziny. Udało mi się także zlokalizować w Warszawie grób prababci Anny. Zaczęłam prowadzić poszukiwania genealogiczne i w końcu stały się one moją pasją.

Wykorzystując doświadczenie zawodowe, jakie zdobyłam w bibliotece, poszukując informacji w bazach danych, udało mi się zgromadzić coraz więcej wiadomości archiwalnych, dotyczących osób z rodziny. Wśród nich były osoby znane, postaci świata baletu i literatury – tancerka Zofia Pflanz (siostra mojej prababci) oraz jej mąż – manager i literat Stanisław Dróbecki. Dotarłam też do różnych sensacji prasowych – pojedynk pradiadka czy udział kuzynów babci w ostrzeliwaniu niemieckiego pociągu, co inspirowało dalsze poszukiwania.

W końcu dojrzała we mnie decyzja uporządkowania tych zebranych materiałów o wartości historycznej i podzielenia się nimi z szerszą publicznością.

Ponad rok przygotowywałam tekst książki pt. *Kryształki pojednania* – historię życia moich przodków i moją własną. Mając pewne doświadczenie korektorskie i edytorskie, chciałam koniecznie sama wydać książkę o niskim nakładzie – skarb rodzinny, upominek dla przyjaciół i czytelników zainteresowanych genealogią.

Jak samemu publikować?

Historycznie self-publishing był wręcz podstawową formą publikacji. Bez niego nie przeczytalibyśmy nigdy np. „Ulyssesa” Jamesa Joyce’a czy „Opowieści wigilijnej” Charlesa Dickensa – napisano na jednym z blogów.

Sporo mówi się o zaletach self-publishingu na łamach blogów internetowych miłośników książek. Proces wydawniczy jest, w tym przypadku, znacznie krótszy. Tradycyjne, duże wydawnictwa otrzymują niekiedy po kilkaset propozycji tekstów dziennie. Niektóre nawet nie są czytane, odrzucone przy wstępnej selekcji. Czas wydania książki tradycyjnie jest długi. W wydawnictwie o profilu self-publishing książka jest gotowa w czasie 1–3 miesięcy. Choć trzeba tutaj na wstępie ponieść koszty własne, w efekcie łatwiej uzyskać honorarium, które ustala się samemu. W przypadku opracowań genealogicznych, autorzy zwykle nie nastawiają się na zysk, gdyż są to dzieła dla wąskiej grupy odbiorców – historyków, genealogów, członków rodziny autora, jednak warto wziąć pod uwagę kalkulację przynajmniej częściowego zwrotu poniesionych kosztów własnych. Łatwiej osiągnąć to w self-publishingu.

Mając gotowy, wielokrotnie sprawdzony tekst książki, postanowiłam skorzystać z tej niezwykle elastycznej metody publikowania. Stanowi ona idealne rozwiązanie dla autora, który chciał-

by zrealizować od początku do końca własną wizję wydania książki – mieć bezpośredni wpływ na adiację i styl graficzny tekstu, projekt okładki, redakcję informacji o książce i autorze.

Doświadczeniem samopublikowania dzielę się w Internecie autorzy, dyskutują o tej metodzie wydawcy, zamieszczają swoje oferty wydawnictwa zajmujące się samodzielnym wydawaniem książek przez autora. Wybrałam międzynarodowe wydawnictwo Rideró, z siedzibą również w Polsce, w Krakowie. Zamieszcza ono szczegółowe przewodniki z materiałami szkoleniowymi – tzw. *tutorials*, wspomagające autora podczas procesu wydawniczego oraz informacje dotyczące umowy licencyjnej i przebiegu ścieżki wydawniczej. Ponadto konsultanci cały czas pozostają wirtualnie do dyspozycji autora. Nie jest to więc tylko firma typu *vanity-press*, realizująca jedynie wydruk na życzenie. Można tutaj także zlecić realizację dodatkowo płatnych usług – asystenta technicznego, projekt okładki, korektę, redakcję, recenzję i reklamę. E-kalkulator przelicza ceny tych usług w zależności od objętości wczytanego i opublikowanego tekstu.

Korzystając z doświadczenia edytorsko-wydawniczego, czerpiąc też ogromną przyjemność z uwalniania własnej weny twórczej, wybrałam jedynie pakiet podstawowych usług wydawnictwa. Koszt, jaki poniosłam, obejmował bazową korektę, ocenę merytoryczną oraz zlecenie wydruku 10 egz.

Aby rozpocząć proces publikowania, wystarczyło podać swój adres e-mail na stronie Rideró. Pierwszym krokiem było wczytanie tekstu przygotowanego uprzednio np. w edytorze Word 2007. Akceptowane są również formaty .doc, .docx, .rtf, .txt, .odt. Publikowanie odbywa się w tzw. *strefie autora*. Uwzględniając wymagania wydawniczej apli-



kacji Rideró, lepiej podzielić tekst na kilka mniejszych plików, wczytując je kolejno partiami, zgodnie z instrukcją zawartą w *Przewodniku*, sprawdzając jeszcze poprawność układu tekstu. Części, rozdziały i podrozdziały oznaczają się stylami czcionek wskazanymi po prawej stronie ekranu.

Publikacje genealogiczne wzbogacone są unikalnymi ilustracjami zawierającymi zeskanowane zdjęcia i dokumenty z archiwum rodzinnego, czy też pobrane z archiwów cyfrowych. Warto zastosować podstawowe zasady skanowania – fotografie kolorowe powinny mieć rozdzielczość minimum 300 dpi, fotografie czarno-białe – 600 dpi, a czarno-białe rysunki – 1200 dpi. Przed publikowaniem, można dopracować dodatkowo jakość ilustracji (ostrość, barwa) oraz ich rozmiar, posługując się edytorami plików graficznych np. Picasa, Photoshop i inne.

Aplikacja wydawnictwa Rideró umożliwia pobieranie tekstu wraz z ilustra-

cjami cyfrowymi lub umieszczania ich w tekście później – każdej z osobna. Dokonałam wyboru drugiej opcji importu zdjęć do tekstu. Udoskonalone pliki graficzne, zachowałam w odrębnym katalogu, ponumerowane zgodnie z przewidywaną kolejnością w publikacji. Następnie umieszczałam je w wybrane miejsca, w edytowanym w aplikacji Rideró tekście. Po dodaniu całości dokładnie przejrzałam tekst, eliminując drobne błędy i zatwierdziłam go do sprawdzenia przez redakcję. Skorzystałam też z możliwości utworzenia strony informacyjno-promocyjnej o książce, gdzie znajduje się notka o autorze, galerie ilustracji, recenzje. Przygotowałam także stronę książki na Facebooku, w celu rozpowszechnienia informacji o publikacji i cyklicznie inwestuję niewielkie kwoty na jej reklamę za pośrednictwem tego medium.

Efekt końcowy

Po zaakceptowaniu tekstu przez redakcję, podpisaniu umowy licencyjnej,

przydzieleniu książce numeru ISBN oraz ustaleniu honorarium ze sprzedaży, została ona udostępniona w postaci e-booka, z możliwością wyboru opcji wydruku na życzenie przez potencjalnego czytelnika. Książka w wersji ogólnodostępnej, zatytułowana *Kryształki pojednania*, ukazała się wiosną 2017 roku na internetowych witrynach księgarni m.in. PWN, MPiK, Virtualo, a także na stronie wydawnictwa. Opublikowałam ją pod pseudonimem Eleonora de Nehl. Historyczna część tej wersji – o charakterze naukowym, jest identyczna w obu wersjach. Druga część, pisana stylem swobodnym, zawiera nieco zmodyfikowany tekst w stosunku do wersji z moim imiennym autorstwem oraz zilustrowana jest innymi, bardziej anonimowymi ilustracjami. Z uwagi na ochronę prywatności i danych osobowych, zmieniłam tutaj imiona niektórych, współcześnie żyjących członków rodziny.

Książka ma również wersję do wyłączenia dyspozycji autora, po zalogowaniu

się. Została wydana drukiem w 10 egzemplarzach dla rodziny i przyjaciół, pod tym samym tytułem, z imiennym autorstwem. W każdej chwili mogę ponownie zamówienie na wydruk dowolnej ilości egzemplarzy. Egzemplarz obowiązkowy tej wersji znajduje się w Bibliotece Narodowej.

Pisanie o własnych przodkach, czy też o sobie, zwykle naładowane ogromnym potencjałem emocjonalnym, nawet jeśli nieco stonowane samodyscypliną, dotyka szczególnie delikatnego tworzywa – autentycznej historii życia. Self-publishing w tym przypadku, daje szansę autorowi uczestniczyć w procesie publikowania – jak nikt inny obejmuje on intelektem i wyobraźnią wszelkie niuanse prezentowanej historii. Warunkiem niezbędnym powodzenia takiej totalnej realizacji dzieła jest, oprócz kreatywności autora, jego zdolność do obiektywizmu, samokrytyki oraz znajomość podstaw wiedzy edytorskiej i umiejętność korzystania z technologii komputerowych. ■

„Kryształki pojednania” są opowieścią o rodzinie. Autorka, kryjąca się pod pseudonimem Eleonora de Nehl (nazwisko inspirowane przodkinią, która go używała) podejmuje próbę złożenia w całość historii swojej rodziny oraz spisania autobiografii. Celem tekstu jest zrozumienie historii rodu, rejestracja swojego życia i teraźniejszości oraz zostawienie spuścizny potomnym. Książka skierowana do najbliższej rodziny (o czym autorka pisze, wyrażając żal, że jej przodkowie nie pozostawili po sobie takiej relacji), może zainteresować również miłośników genealogii, tych, którzy przymierzają się do poszukiwań własnych korzeni oraz czytelników powieści historycznych. De Nehl pisze sprawnie i interesująco. I chociaż zawsze bazuje na faktach, wyniki swoich badań oraz osobistą relację uzupełnia przemyśleniami na temat świata, duchowości i życia.



Książka dzieli się na dwie części: pierwsza stanowi wyniki badań genealogicznych autorki, bardzo rzetelnie przeprowadzonych. De Nehl wykonała solidną kwerendę, której efekty prezentuje w książce w postaci faktów na temat rodów Kęszyckich, Zdrójowskich, Mroczkowskich, Pflanc oraz Dróbeckich, z których pochodzi. Wnioski autorka potwierdza licznymi źródłami naukowymi, wycinanymi z prasy, zdjęciami. I chociaż stawia wiele pytań, ucieka od zbędnych spekulacji. Zapewne ta część może być bardzo inspirująca dla osób, których historie łączą się z autorką. Być może zachęci do prowadzenia przez nie równoległych badań, również przydatnych dla kolejnych badaczy omawianych tutaj rodów.

Część druga jest prywatną opowieścią członków rodziny autorki – zaczynając od dziadków, rodziców, wujostwa, rodziny męża, jak i jej dzieci oraz wnucząt. Ta część uzupełniona jest materiałami dodatkowymi – zdjęciami, skanami listów, obrazów. De Nehl tworzy w ten sposób kronikę rodzinną, zbierając wszystkie wspomnienia, opowieści, materiały archiwalne, tworząc opowieść o rodzinie i dla rodziny. O sobie i dla siebie. Podejrzewam, że sam proces pisania był dla autorki ważny, a dla czytelnika odkrywanie losów pisarki w kontekście prywatnej historii może być bardzo interesujące. W części drugiej autorka opisując bliskich w tle historii jej życia, pozwala sobie na zapis refleksji o życiu, Bogu, przemianach społecznych. Książka staje się niemalże intymnym dziennikiem, dzięki któremu możemy dobrze poznać autorkę i jej sposób myślenia o świecie. Znając losy jej rodziny, można zastanowić się, jak dalece takie ukształtowanie światopoglądu wynika właśnie z jej genealogii, co jest niezwykle interesującym zagadnieniem.

Zapewne kolejni potomkowie autorki będą wdzięczni za pracę, jaką wykonała, by wyłonić losy przodków z mroków historii oraz starannie i czule skatalogować historie bliższych członków rodziny. „Kryształki pojednania” są intymną opowieścią o historii, jednostkach oraz rodzinie, która z pewnością zafascynuje wszystkich badaczy własnej przeszłości.

MASZ ODRROBINĘ

WOLNEGO CZASU?

LUBISZ PISAĆ?

CHCESZ POMÓC

TWORZYĆ MORE MAIORUM?

NAPISZ DO NAS!

<redakcja@moremaiorum.pl>

> Sergij Batogowski

Wykazy wyborców jako źródło badań genealogicznych na Kresach

Co zrobić w wypadku, kiedy nie zachowały się ani metryki, ani wykazy parafian z okresu międzywojennego w miejscowości naszych przodków? Pomocą mogą być spisy wyborców do Sejmu i Senatu w II Rzeczypospolitej.

Wybory parlamentarne na Kresach Wschodnich odbywały się 5 razy: w latach 1922, 1928, 1930, 1935 oraz w roku 1938. Parlamente I, II i III kadencji wybierano na mocy Konstytucji marcowej z 1921 roku, z kolei parlamente IV i V kadencji na mocy Konstytucji kwietniowej z 1935 roku.

Podczas poszukiwań należy pamiętać, że według wówczas obowiązującej ustawy zasadniczej, prawo wybierania miał każdy obywatel bez różnicy płci, który w dniu ogłoszenia wyborów ukończył lat 21 (dla wykazów z lat 1922, 1928, 1930) oraz 24 lata (dla wykazów z lat 1935 i 1938).

Wykazy te najczęściej spisane były w tabeli z następującymi kolumnami:

L.p.	Nazwisko i imię	Data urodzenia (albo wiek)	Miejsce zamieszkania	Od kiedy mieszka w obwodzie głosowania	Otrzymał kopertę	Złożył kopertę	Uwagi
------	-----------------	----------------------------	----------------------	--	------------------	----------------	-------

W kolumnę „Nazwisko, imię” wpisywano odpowiednio nazwisko i imię osoby. Najpierw wpisywano głowę rodziny, następnie z reguły wymieniona była żona.

W kolumnie „Data urodzenia albo wiek” wpisywano wiek osoby w latach. Ale często też, zamiast wieku, notowana była dokładna data urodzenia. Kolumna ta w nowszych rocznikach, np. w roku 1938, zatytułowana była „Data urodzenia i zawód” i, oprócz daty urodzenia wyborcy, wpisywano też w niej jego zawód. Zazwyczaj byli to rolnicy, choć często też spotyka się nauczycieli czy księży. Z kolei w przypadku zamężnej kobiety wpisywano „przy mężu”.

W kolumnie „Miejsce zamieszkania” podana była miejscowość obecnego

Spis wyborców do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej Polskiej z miejscowości _____ powiatu _____ obwodu głosow. _____ okręgu Nr. 134

L.	Ulica lub plac	I orj.	Nazwisko i Imię	Data urodzenia lub wiek	Od kiedy przebywa w obwodzie głosowania	Zawód lub zatrudnienie	Otrzymał kopertę	Złożył kopertę (głosował)	U w a g a
201	Dopack	20.	Wasyha Jan.	47	od urodz.	Rolnik	1	1	
202	"	"	Wasyha Ksenia	43	"	"			
203	"	21.	Lewiwniak Filip	65	"	"	1	1	

zamieszkania osoby, z wyróżnieniem rodzaju miejscowości: Np. w. – wieś, os. – osada, h. – huta, m. – miasto bądź miasteczko, przy których najczęściej wymieniona była też nazwa ulicy. W późniejszych wykazach z 1938 roku wpisywano również numery domów.

Ważnym źródłem informacji jest też kolumna „Od kiedy mieszka w obwodzie głosowania”, w której wpisywano skrót „od urodz.”, czyli „od urodzenia” bądź „stale”, ale często też wymieniony był rok i dokładna data przybycia do aktualnej miejscowości zamieszkania. W nielicznych wypadkach wpisywano też miejscowość, z której osoba przybyła.

W archiwach ukraińskich i białoruskich przechowywanych jest mnóstwo zbiorów z tego typu dokumentami z okre-

su międzywojennego. Do tego wykazy wyborców są prawie z każdej miejscowości, zwłaszcza w przypadku Wołynia (współczesne obwody wołyński i rówieński) i ziemie byłego województwa tarnopolskiego (współczesny obwód tarnopolski i północno-wschodnia część obwodu lwowskiego). Natomiast w polskich instytucjach archiwalnych wykazy wyborców z okresu międzywojennego niestety nie zachowały się aż tak dobrze. Od lat poszukuje wykazów wyborców z terenów Lubelszczyzny i Pod-

> Przykładowy spis wyborców z okręgu nr 134

karpacia. Może ktoś z czytelników spotkał się z takimi dokumentami?

Gdzie szukać spisów wyborców?

W archiwach ukraińskich spisy wyborców przechowywane są głównie w archiwach obwodowych. W Łucku,

L. p.	NAZWISKO i IMIĘ	Data urodzenia i zawód	Miejsce zamieszkania	Od kiedy mieszka w obwodzie	przy wyborach		UWA
					normalnych	uzupełniających	
113 1	Toporowska Tatiana	1878 rol	Czerkasy 18	urodz	✓		
113 2	Toporowski Piotr	1907 rol	" "	" "	✓		

> Przykładowy spis wyborców

w Archiwum Państwowym Obwodu Wołyńskiego (ДАВО), w katalogach archiwalnych, wśród nazw spraw z wykazami wyborców, zostały wymienione jedynie gminy – bez uszczegółowienia nazw miejscowości.

Zatem podczas poszukiwań należy najpierw ustalić gminę, do której wówczas odpowiednia miejscowość należała, dopiero po tym do obejrzenia należy zamówić niemal wszystkie sprawy z wymienioną gminą. Lecz oprócz nazw gmin w katalogu archiwalnym wymienione są też numery dzielnic wyborczych oraz ilość arkuszy tworzących odpowiednią sprawę. Czyli np. jeżeli w katalogu widzimy 2 sprawy

o jednakowej nazwie gminy, z jednakowym numerem dzielnicy i z taką samą ilością arkuszy, to znaczy, że podobno są to sprawy jednakowe z identycznymi wykazami. Otóż wystarczy obejrzeć jedną z tych dwóch spraw. Wykazy wyborców w archiwum w Łucku przechowywane są nie tylko z ziem współczesnego obwodu wołyńskiego, ale też z obwodu rówieńskiego. Lokalizacje tych spraw można zobaczyć w opisach nr 1 w następujących zbiorach (fondach): nr 48, 283, 324 (rok 1928), 325 (rok 1930), 326, 327 (rok 1935), 315, 328, 329 (rok 1938).

W Archiwum Państwowym Obwodu Rówieńskiego (ДАРО), w odpowiednich wykazach (opisach) oprócz nazw gmin, podane są też konkretne miejscowości. Choć w przeciwieństwie do Łuckiego archiwum, w archiwum

Rówieńskim spraw tych o wiele mniej się przechowuje. Jest tutaj tylko jedyny rocznik, 1938. Wykazy tutaj zlokalizować można, oglądając opisy nr 1 w zbiorach (fondach) nr 263, 264, 265 oraz 266.

W Archiwum Państwowym Obwodu Tarnopolskiego (ДАТО) w wykazach tytułów spraw ze spisami wyborców też są wymienione miejscowości. W archiwum tym jest to fond Nr 30 opis Nr 1 (wykazy wyborców do Sejmu i Senatu RP z lat 1922, 1928, 1930, 1935 oraz 1938 (1939)).

We Lwowie spisy wyborców przechowywane są w dwóch archiwach:

1. w Archiwum Państwowym Obwodu Lwowskiego – wykazy te są tutaj rozproszone w różnych zbiorach, dotyczących II RP.

2. w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym we Lwowie – fond 328 opis 1, są to jedynie wykazy wyborców narodowości żydowskiej z roku 1938.

Archiwum Państwowe obwodu Iwano-Frankowskiego. W archiwum tym są też wykazy wyborców, jednakże przechowywane są one w różnych zbiorach, dotyczących II RP.

W okresie międzywojennych północne ziemie Wołynia należały do województwa poleskiego, z którego spisy wyborców przechowywane są na Białorusi – w Brześciu w Archiwum Państwowym Obwodu Brzeskiego. Przede wszystkim jest to zbiór (fond) Nr 493 z wykazami wyborców do Sejmu i Senatu RP z różnych miejscowości województwa poleskiego z lat 1922, 1928, 1930, 1935, 1938. ■

Oferuję pomoc w poszukiwaniach genealogicznych w archiwach zachodniej części Ukrainy. Odszyfrowuję i tłumaczę materiały archiwalne z języka rosyjskiego i ukraińskiego na język polski (i odwrotnie). E-mail – manualll80@gmail.com.

PRZECZYTAJ TAKŻE:



POSZUKUJEMY RODZINY WERNERA BLECHSCHMIDTA ZSAKSONII, KTÓRY WALCZYŁ NA FRONCIE WSCHODNIM!

Wielokrotnie osadzany za złamanie przepisów, grał na nosie zaborcy, igrał ze śmiercią. Niemcy zapamiętali Drzymałę do tego stopnia, że w czasie II wojny światowej, hitlerowcy zdewastowali jego grób. Michał Drzymala urodził się 13 września 1857 roku we wsi Zdrój, ochrzczony tego samego dnia w parafii w Grodzisku Wielkopolskim.



ACTA PERPETUITATIS, CZYLI CO MOŻNA WYCZYTAĆ Z KSIĄG WIECZYSTYCH

W archiwum państwowym można znaleźć wiele dokumentów pozametrykalnych, będących ciekawym uzupełnieniem na temat życia naszych przodków, jednym z takich źródeł są księgi hipoteczne. Co w nich znajdziemy? Gdzie ich szukać? Bowiern dokumentowanie „stanu prawnego” nieruchomości w Polsce ma długą tradycję.

Florjanka – Towarzystwo nie bez skazy

> Piotr Rytel

W 1911 roku Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń z Krakowa obchodziło 50-lecie istnienia. Pod koniec XIX wieku instytucja przeżyła szereg wstrząszeń. Jak poradziło sobie z problemami?

W momencie rocznicy działalności Towarzystwa pojawiły się publikacje wychwalające jego działalność asekuracyjną – i nic w tym dziwnego. Potrzebę instytucji ubezpieczeniowej odczuwano od dawna. Pierwsze próby utworzenia jej w latach dwudziestych XIX wieku były nieudane. Później odnotowano już same sukcesy: powstanie Towarzystwa w 1861 roku i jego ciągły rozwój.

Jednym z pierwszych dyrektorów Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie był Henryk Kieszkowski. Mocno zaangażowany w budowanie

nowo powstałej instytucji, pozbawionej sił fachowych, zdołał nakłonić galicyjskich urzędników obcych towarzystw ubezpieczeniowych do współpracy z *Florjanką*, jak nazywano krakowską firmę. Jakich argumentów użył? Na pewno nie finansowych – osiadłe w Galicji instytucje ubezpieczeniowe były bogate i zapewniały swoim pracownikom godziwe wynagrodzenie. Tego nie mógł obiecać dyrektor Kieszkowski. Można się jedynie domyślić, że uderzył w patriotyczną strunę – sam działał skrycie dla dobra powstania styczniowego, miał dar przekonywania, więc w krótkim czasie pozyskał ludzi już obeznanym z zawodem.

Ryzykowna gra na giełdzie

W 1895 roku minęło 25 lat od utworzenia działu ubezpieczeń na życie. Było czym się pochwalić: ubezpieczony kapitał przekroczył 30 milionów złotych reńskich, a w posiadaniu działu było 8 milionów kapitału będącego własnością ubezpieczonych. Ogólnie Towarzystwo krakowskie należało do najpočetnějszych w całej Austrii.

Naczelnikiem działu ubezpieczeń na życie był Czesław Kieszkowski – syn dyrektora, Henryka Kieszkowskiego. Senior Kieszkowski, sam niezwy-

kle zasłużony dla Galicji, dzięki któremu wiele rodzin nie wpadło w skrajną nędzę spowodowaną pożarem czy grabieżą, mógł liczyć na kontynuację swego dzieła przez syna. Niestety, to stwierdzenie mija się z prawdą.

Rozpoczynając kierowanie instytucją ubezpieczeniową, Henryk Kieszkowski wyrzekł słowa: *Cokolwiek przyszłość przyniesie, my wszyscy, słudzy instytucji, starać się powinniśmy o to, aby nam nie zarzucić nie można, aby nam nigdy nie brakowało pracy, wytrwałości i zacności.*

Tym kierował się dyrektor Kieszkowski i jego współpracownicy przez 36

lat służby dla społeczeństwa. Jedynym jego błędem było powierzenie odpowiedzialnej funkcji naczelnika wydziału synowi, Czesławowi. Zarząd wyznaczył mu pensję roczną około dziesięciu tysięcy złotych reńskich i było to wynagrodzenie odpowiednie dla wyższej rangi urzędnika. Pieniądze były potrzebne na utrzymanie licznej rodziny i wystarczyłyby na to, lecz Czesław nie był przykładowym mężem i ojcem. Lubił hulanki, karty i ryzykowną grę na giełdzie, miał wielkopańskie zachcianki – żył ponad stan. Więcej czasu poświęcał zabawom niż pracy biurowej. Ze względu na zasłużonego ojca, nikt nie zauważył niebezpieczeństwa, jakie groziło instytucji. Zaufanie, jakim obdarzono Czesława, było tak duże, jak uprawnienia, które otrzymał będąc naczelnikiem wydziału. Mógł decydować, podpisywać papiery, przy czym nie podlegał kontroli. Nepotyzm, protekcja i kumulacja stanowisk u jednej osoby stanowiły otwartą drogę do nadużyć.

Wielka defraudacja

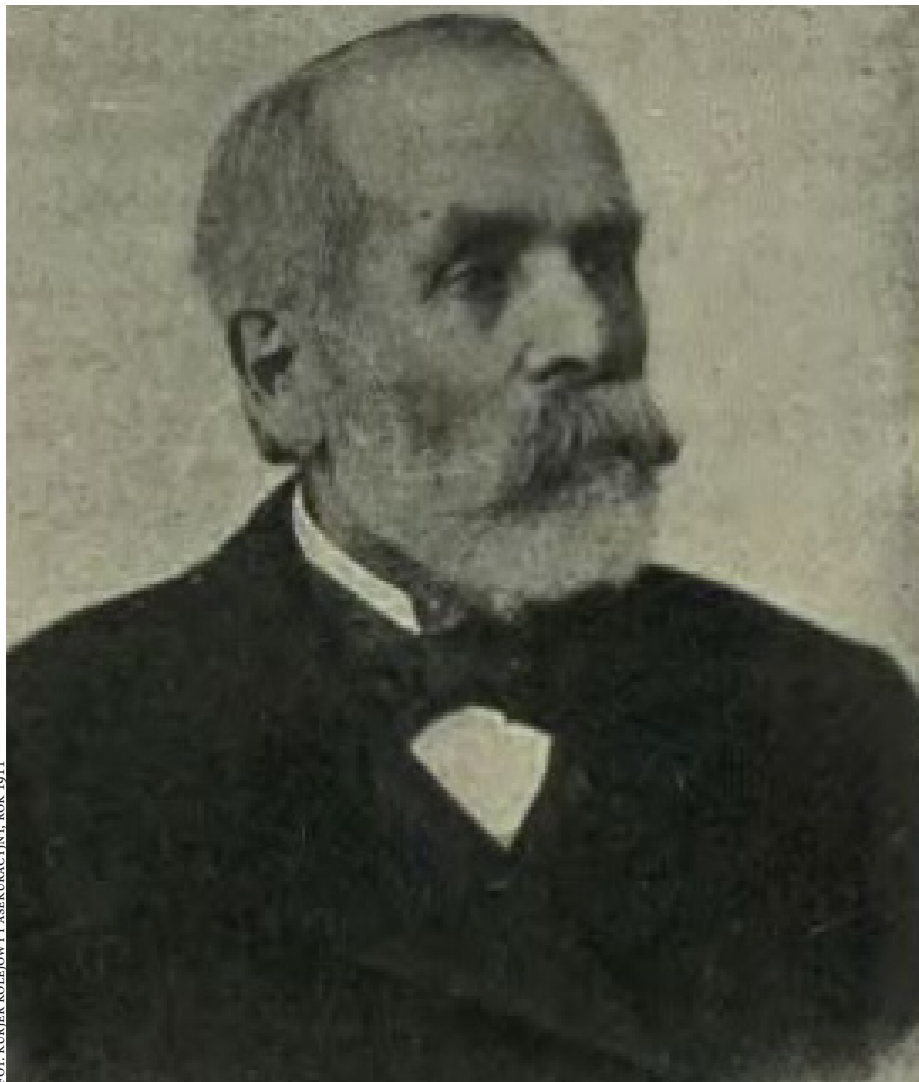
W opracowaniach o *Florjance* jedynie mimochodem wspomina się o aferze, która wybuchła w 1897 roku. Tymczasem, działy się rzeczy niespotykane w prawidłowo działającej firmie ubezpieczeniowej, mogące doprowadzić do katastrofy. Wypłacano kapitały polisowe, nie potrącając pożyczek na nie zaciągniętych, papiery wartościowe z agencji nie trafiały do skarbca Towarzystwa, w filiach kierowanych przez przyjaciół Kieszkowskiego – juniora coraz częściej zdarzały się malwersacje.

W październiku 1897 roku Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń wydało komunikat o odkrytej defraudacji. W kasie instytucji brak było co najmniej kilkudziesięciu tysięcy złotych reńskich. Ile dokładnie, trudno było stwierdzić, księga kasowa zniknęła

Kraków, dnia 1. Stycznia 1888 r.

Dyrekcja Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie:
Z. Słonecki. M. Łępkowski. H. Kieszkowski.

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie.
Cz. Kieszkowski.



> Henryk Kieszkowski, rok 1911

wraz z naczelnikiem wydziału ubezpieczeń na życie. Ludziom odpowiedzialnym za działalność Towarzystwa dopiero z wykryciem nadużycia otworzyły się oczy: karygodnym błędem było pozostawienie w rękach jednej rodziny, nawet mającej i herbowej, spraw materialnych, bez żadnej kontroli. Nie chodziło jedynie o skutki finansowe – ważniejsze było, czy ktoś teraz zechce powierzyć pieniądze, majątek, przyszłość wreszcie i zabezpieczenie bytu, instytucji o wątpliwej reputacji.

Jedynie dobra sytuacja finansowa Towarzystwa dawała nadzieję na dalsze istnienie i rozwój. Dział ubezpieczeń na życie posiadał rezerwy przekraczające 8 milionów złotych reńskich, a ubezpieczenia od ognia – 19 milionów.

Sprawa miała jeszcze dodatkowy, przykry aspekt. Henryk Kieszkowski, który poświęcił swe najlepsze lata dla Towa-

rzystwa, poczuł się przygnieciony dotkliwym ciosem, który spadł na niego. Środowisko jednak nie potępiło nestora ubezpieczeń, gdy odszedł na zasłużony odpoczynek, powierzono mu honorową funkcję kuratora.

Ucieczka za granicę

Czesław Kieszkowski w momencie odkrycia defraudacji, przebywał poza Krakowem. Kiedy dowiedział się o wykryciu przestępstwa, zbiegł za granicę. Teraz dopiero odezwały się głosy opiniujące uciekiniera, ukazały się artykuły w prasie roztrząsające sprawy Towarzystwa, a zwłaszcza działania naczelnika. Zastanawiano się, jaką karę wyznaczylby dla siebie, skoro będąc sędzią przysięgłym, swoim głosem nie raz zaważył na surowym wyroku za kradzież spowodowaną nędzą. Opinia publiczna została powiadomiona przez krakowską prasę, że żona Czesława Kieszkowskiego udała się do cesarza Franciszka Józefa z prośbą o ratunek dla męża. Monarcha wysłuchał ją i dał nadzieję, kierując zapytanie do sądu krakowskiego, co może być warun-

kiem udzielenia łaski. Odpowiedź sądu była stanowcza: urzędnik, który dopuścił się nadużycia zaufania publicznego i naraził na szwank jedną z najważniejszych instytucji w kraju, nie zasługuje na łaskę.

W 1900 roku wydarzyła się w rodzinie Kieszkowskich tragedia: brat Henryka, mąż hrabianki Zabielskiej, właściciel milionowej fortuny, popełnił samobójstwo. Bliscy zmarłego uważali, że jego czyn był spowodowany tym, że nie

Brat Henryka popełnił samobójstwo

Szkoda wyrządzona przez byłego naczelnika wydziału została w pełni pokryta przez jego ojca i członków rady nadzorczej. Do końca życia Czesław Kieszkowski nie odpowiedział przed sądem za defraudację. Próbą prawnego rozwiązania tej sytuacji było wydanie dla zbiega listu żelaznego i ponownego śledztwa sądowego. Kieszkowski z tej możliwości nie skorzystał.

mógł znieść kompromitacji, która dotknęła ród Kieszkowskich z winy Czesława.

Henryk Kieszkowski zmarł 13 marca 1905 roku. Pogrzeb odbył się na koszt Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń. Tego dnia na gmachu Towarzystwa wywieszono na znak żałoby czarną chorągiew. ■

> **Martyna Bryś**

Niezwykły wojak spod Monte Cassino

Podczas poszukiwań genealogicznych często poznajemy tragiczne losy członków rodziny. Historie te są małymi opowieściami, tworzącymi tę wielką historię, o której uczymy się w szkole. Kreował ją również Józef Tkacz – walczący za Polskę na dalekich frontach II wojny światowej.

Rodzice mojej ukochanej prababci, Marianny z Tkaczów Bryś, Jakub i Julianna z Rożków Tkaczowie, żyli ze sobą dwadzieścia lat. W pamięci babci zachowały się mgliste wspomnienia. Będąc siedmioletnią dziewczynką, wraz z pięcioletnią siostrzyczką Andzią pilnowała umierającej mamy, która po raz ostatni parzyła na świat.

W 1931 roku Julianna, zwana na Jelonkach Ulisią, osierociła siedmioro dzieci – najstarszy Antek miał już dwadzieścia lat, najmłodsza Ania – pięć. Po śmierci żony Jakub dotrzymał obietnicy danej żonie, którą kochał nad życie. Bo, musicie wiedzieć, zbuntował się niegdyś swoim rodzicom, żeniąc się z córką ubogiego komornika, a nie z wyznaczoną mu panną. Za karę nie została mu przepisana ojcowizna i musiał gdzie indziej szukać swego domu. Przez dwadzieścia lat mieszkał w Błoni, obecnej Faustiance, dopiero w 1931 roku wrócił niedaleko ojcowizny, do Jelonka – na Banasiówkę. I niemalże od razu został wdowcem. Niedługo po pochowaniu żony, wziął ślub z jej siostrą,

również wdową, z którą miał jeszcze troje dzieci. Józia była tak dobra dla siostrzeńców i własnych dzieci, że zarówno babcia, jak i każde z jej rodzeństwa traktowało ją jako matkę i nigdy inaczej. Nie wyróżniała żadnego z nich – miała dziesięcioro swoich dzieci i basta. We wspomnieniach do końca pozostała tylko, i aż, mamą.

Ratował Żydów

Historia jednego z braci mojej prababci zapiera dech w piersiach i prowadzi krętymi ścieżkami przez dwudziestowieczną dziejową zawieruchę. Józek, urodzony w 1917 roku, w połowie lat trzydziestych, chcąc pomóc ojcu utrzymać jakże liczną rodzinę, zaczął parać się szmuglerką. Mieszkali w Banasiówce – pojedynczym domu niemalże przylegającym do rzeki Proсны – ówczesnej granicy pomiędzy II Rzeczpospolitą a III Rzeszą. Jednak młody chłopak szybko poszukał nieco innego zajęcia – przeprowadzał przez granicę uciekających z Niemiec po statutach norymberskich Żydów. Manewrując w nadprośniańskich lasach, omijając strażników granicznych, tzw. zielonków, ratował, przynajmniej tymczasowo, życie wielu ludzi. Niegdyś, gdy był już bardzo zmęczony, walizka Żyda niezwykle ciężka, a towarzysz podróży dosyć roszczeniowy, Józek stracił cierpliwość i zagroził, że wrzuci bagaż do rzeki. Wówczas starszy człowiek padł na kolana i błagał, aby tego nie robić – otworzył walizkę, a tam znajdowały się równiutko poukładane sztabki złota.

Prawu nigdy nie uda się ująć – i Józek, łamiąc ówczesne ze szlachetnych przecieżeń pobudek, musiał uciekać z domu. „Zielonkom” w końcu udało się go złapać – na własnym podwórku. Strażnik wymierzył do Józka z pistoletu, a ten, niewiele myśląc, wyrwał broń i skierował w stronę przeciwnika. Gdyby nie Jakub, obecny przy całym zajściu, lek-

komyślny Józek zastrzeliłby „zielonkę”. Wówczas życie naszego bohatera potoczyłoby się zgoła inaczej. Ale rodzice zawsze dbają o swoje dzieci – wyrwał synowi pistolet, a strażnik uciekł, mamrocząc pod nosem groźby. Jakub wyprawił syna w świat – kolejne spotkanie z „zielonkami” stałoby się dla Józka przepustką na podróż do ojca Abrahama.

Tajemnicza nieznajoma ze Szkocji

Mając pieniądze zarobione na szmuglerce, nasz bohater wyruszył w świat. Znajomość języka niemieckiego była wręcz niezbędna, ale jego nauczył się jeszcze w Polsce od synów młynarza – Johanna i Wenera. Józef opuścił kraj aż na ponad trzydzieści lat. Przez Niemcy i Holandię dostał się do Belgii – tam pracował w zakładach metalurgicznych w Liège i tamże zastał go wybuch II wojny światowej. Niedługo później udało mu się uciec do Anglii, gdzie zaangażował się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po koniec 1940 roku zgłosił się na szkolenie komandosów.

Ćwiczenia w szkockim Coupar Fife były niewyobrażalnie trudne. Józek, z uwagi na doskonałe warunki fizyczne, pomyślnie przeszedł kwalifikację. Po latach będzie z uśmiechem na ustach wspominał, że on prosty chłopak, słuchając rozmów swoich kolegów – lekarzy i prawników, czuł się jak na uniwersytecie. Niestety, i tam zetknął się ze śmiercią. Żołnierze, zobligowani do dźwigania bardzo ciężkiego ekwipażu, nierzadko mieli z tym problemy. Podczas szkolenia na wodzie utonął jeden z przyjaciół Józka, przytłoczony kilogramami bagażu. Nie udało złapać się łopoczącej coraz słabiej ponad taflą wody dłoni polskiego chłopaka i zakończył on swe życie na szkockiej ziemi, chcąc przecież walczyć dla ojczyzny. ▣



> Komandosi – Józek ostatni po lewej

Podczas treningu Józek i jego towarzysze byli zakwaterowani u tamtejszych rodzin. Po wojnie nasz bohater wrócił w rzeczone strony, aby podziękować ludziom, którzy w trudny wojenny czas zapewnili młodemu chłopakom namiastkę rodzinnego polskiego domu. Powrócił tam też po to, by odnaleźć Barbarę – dziewczynę, której imię widniało na wybieranym przez Józka ćwiczebnym spadochronie. Niestety, nigdy jej nie poznał. Nie dowiedział się, kim była. Do końca pozostała dla niego tajemniczą nieznajomą.

Walki w Algierii

W 1943 roku Józek znaczył drogę polskiego żołnierza-emigranta. Przetrasportowany wraz ze swoją formacją do północnoafrykańskiej Algierii, na początku 1944 roku został przerzucony do Włoch – tam zapisał chwalebny kartę swej żołnierki.

Pierwsza Specjalistyczna Kompania „Commando” – niezwykle wykwalifikowani komandosi – spadochroniarze, ceniłi za pełen profesjonalizm i, na równi, za schludny wygląd. Józek do końca życia będzie dumny ze swego munduru i czasem pogładzi go w swoim angielskim domu, myśląc o dawnej ojczyźnie.

Tu zaczyna się włoska przygoda Józka z Jelonek – którą niezadługo do końca zgłębię – podczas wizyty w angielskim domu wuja. Pierwszy raz Józek zetknął się z walką nad rzeką Sangro oraz Gari-gliano, gdzie polskie wojsko zmagало się z Alpejską Dywizją Hermana Göringa. Pod ostrzałem z moździerzy, otoczeni niemieckimi Goliatami i Tiger Tankami, polscy żołnierze szli zdobywać Monte Cassino. Zakwitły na czerwono tamtejsze literackie maki – w pamięci Józka bitwa o klasztor była morzem krwi. On, mający ponoć wówczas dosyć lekkomyślne podejście do życia, w którym wciąż grała niepokorna krew Tkaczów, niemający nadziei na przeżycie wojny – został tylko lekko raniony

> Józek w mundurze komandosa

w lewe ramię. Będąc już później żołnierzem II Korpusu Polskiego, otrzymał rozkaz przetransportowania na przesłuchanie sześciu jeńców niemieckich. Jeden z nich, esesman, pozwalał sobie na niewybredne uwagi o Polsce – Józek, niewiele myśląc, przywoździł go do ziemi. Niemiec straszył sądem wojskowym, ale na szczęście Józkowi udało się uniknąć kary. Przegrał nawet w karty z kolegami we Włoszech bardzo drogą omegę. Po latach syn postanowił ojcu zadośćuczynić tę stratę – na siedemdziesiąte urodziny zagrał z weteranem w pokera, specjalnie przegrywając, aby Józek mógł wygrać nowy zegarek.

Józek po wojnie osiadł w Anglii, naturalizował się, ożenił ze Szkotką, miał jednego syna. W Polsce był jeszcze tylko dwa razy – w 1967 i 1969 roku. Ponoć, gdy przyjechał i spotkał się z rodziną, przez dosłownie całą noc lały się łzy – dopiero o poranku byli w stanie w miarę normalnie rozmawiać. A co się stało z synami młynarza, od których uczył się niemieckiego? W 1967 oboje już nie żyli. Siłą wcieleni do Wehrmachtu zginęli – jeden w bitwie pod Stalingradem, a drugi w domu, odniesionych na froncie ran.

Józef Tkacz. Joseph Morrison. Komandos, kapral, kawaler Brązowego Krzyża Zasługi z Mieczami, Krzyża Monte Cassino, medalu Wojska Polskiego, żołnierz generała Andersa. Brat prababci Marysi. Bohater, który, jak wielu, niknie w mrokach dziejów, ale to naszym zadaniem jest przedłużyć pamięć, zachowywać historię – *umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci. Chwiejna waluta. Nie ma dnia, by ktoś wieczności swej nie tracił.* ■



FOT. ARCHIWUM WŁASNE

> Grażyna Stelmaszewska

Sport w okupowanej Warszawie – jak „grano” z Niemcami?

W Warszawie zakazane było niemal wszystko. Nawet sport. Polska stała się jedynym okupowanym przez Niemców krajem, w którym jego uprawianie było surowo zakazane. Warszawiakom to jednak nie przeszkadzało – regularnie odbywały się tu mecze piłki nożnej.

Warszawa była miastem nieujarzmionym. Jej losy podczas II wojny światowej pozostają symbolem walki i męczeństwa nie tylko w naszej, ale i światowej opinii. Podziw dla miasta (nawet niezamierzony) wyrażali także wrogowie. Ot, chociażby wypowiedź Hansa Franka: *W kraju tym znajduje się pewien punkt, będący źródłem wszelkich nieszczęść, jest nim Warszawa. Gdyby w Generalnej Guberni nie było Warszawy, wówczas trudności, z którymi się borykamy, zmalałyby do 4/5. Warszawa jest i będzie ogniskiem wszelkich zaburzeń, miejscem, z którego niepokój rozchodził się po całym kraju.*

Zakaz Hansa Franka

W komentarzu do zarządzenia Franka z dnia 23 lipca 1940 roku zapisano: *Zwłaszcza związki gimnastyczne i sportowe, które służą także do podniesienia tężyzny fizycznej ludności, nie leżą w naszym interesie.*

Zamknięte szkoły i uczelnie, patrole na ulicach, łapanki, narastający terror. Życie w okupowanej stolicy było niebezpieczne, zwłaszcza dla niepokornych. Niemieckie zakazy obejmowały praktycznie wszystkie dziedziny życia, nawet uprawianie sportu było zabronione.

Verboten? – Nie dla tego pokolenia Polaków

Nawet gra w **piłkę nożną** stała się automatycznie przestępstwem. Co nie znaczy, że w nią nie grano. Powstały boiska zamaskowane – umiejscowione za wysokimi murami, na placach i podwórkach, z dala od ulic i patroli. Nie bacząc na niemieckie zakazy, grupa warszawiaków – fanatyków futbolu, utworzyła niezwykły system konspiracyjnych rozgrywek piłkarskich, w których udział wzięło kilkadziesiąt drużyn!

Na mecze te, choć już wówczas organizowano na ulicach łapanki, przychodzi-

ło po kilka tysięcy widzów. Działo się to bez radia, prasy, afiszów. Pantoflową pocztą dowiadywali się oni o terminie i miejscu spotkania. To był fenomen. Nie mieściło się w głowie, że pomimo realnego niebezpieczeństwa, ludzie przychodzili, bo chcieli oglądać futbol – wspominał jeden z uczestników takich wspomnień.

Konspiracyjny sport

Zapewne wielu z nas pamięta serial w reżyserii Janusza Morgensterna *Kolumbowie*. Opowiadał on o młodziźnie lat wojny, o polskim ruchu oporu przeciw hitlerowskiemu okupantom. Głównymi bohaterami są dwudziestoletni chłopcy, wpłątani nagle w dramatyczną historię narodu i zmuszeni do podejmowania trudnych, nierzadko tragicznych decyzji. Każdy odcinek wymownie rozpoczynał się od sceny gry w siatkówkę. Młodzi ludzie grali na prowizorycznym boisku, osłoniętym od ulicy wysokim murem. Konspiracyjny sport!

Każde boisko otoczone blokami mimo wszystko stwarzało możliwości obserwacji przez niepożądanych ludzi. Stosowano więc wyciszanie widowni i emocji. Mecz piłki nożnej, siatkowej czy koszykówki był pilnie strzeżony przez wystawione na najwyższych piętrach „czujki”, które informowały

o zbliżającym się niebezpieczeństwie. A były bardzo często sytuacje, gdy wokół zaimprovizowanego boiska stawali ludzie o skupionych twarzach, obserwujący każdy ruch piłki, może gol, a za chwilę... Wszystko na sekundę zatrzymuje się, zastyga, by po chwili rozproszyć się wraz ze wszystkimi piłkarzami po całej okolicy. Szalony bieg przed żandarmami i mieszanina strzałów z karabinów maszynowych, krzyków rannych i niemieckich komend „Halt!”.

Podobnych obrazków w czasie trwania niemieckiej okupacji widziało dziesiątki, a mimo tego Polacy wciąż organizowali mecze, używając niezliczonych forteli, aby wywieść w pole zniechęconego okupanta.

Mimo rozwiązania klubów sportowych, mimo konfiskaty ich majątków, mimo zamknięcia stadionów i większych boisk, istniało w Warszawie nielegalne życie sportowe. Możemy rzec, że był to „sport podziemny”.

Na przekór wrogowi i nie bacząc na surowe zakazy i represje, rozgrywki w piłce nożnej (aż do wybuchu powstania warszawskiego) organizowali m.in. dwaj przedwojenni reprezentanci Polski – Józef Ciszewski oraz Alfred Nowakowski. Wiosną 1940 roku z okazji piątej rocznicy śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego, urządzili na Polu Mo-

kotowskim turniej, w którym wzięło udział aż osiem drużyn. Wygrała drużyna „Błysk” z Kolonii Staszica (osiedle na Ochocie) ze słynnym później aktorem – Andrzejem Łapickim stojącym na bramce.

Zanim Niemcy nie zajęli stadionu „Polonii” na ul. Konwiktorskiej, tam właśnie odbył się słynny turniej 13 drużyn piłkarskich. Wygrała drużyna „Czarni”, pokonując KS „Bimber” 3:1. Piłkarze „Polonii” weszli w skład nowo powstałych drużyn o nazwach: „Pochodnia”, „Czarni”, „Bimber”. Nazwy właściwie nic nie mówiły, ale kibiciele wiedzieli, że to kamouflaż i gra „Polonia”.

Boiska wojennej Warszawy

W 1941 roku turniej mistrzostw Warszawy nie odbył się, a to z uwagi na wzmożoną koncentrację wojsk niemieckich w stolicy. Mecze zaczęły więc odbywać się na peryferiach w miejscowościach Żabieniec, Piaseczno, Jeziora, Błonie czy Mirków.

24 grudnia 1941 roku w mieszkaniu byłego reprezentanta Polski w piłce nożnej Alfreda Nowakowskiego powstał konspiracyjny Warszawski Okręgowy Związek Piłki Nożnej. W roku 1942 pod jego patronatem odbyły się regu-

larne już mistrzostwa Warszawy. Turniej wygrała reaktywowana „Polonia”.

Każdy z meczów, mimo zagrożeń, gromadził setki, a nawet tysiące widzów. Kibice doskonale rozeznani byli w kalendarzu rozgrywek. Oczywiście wszystko odbywało się za pomocą poczty pantoflowej. – Gdy kupowałem w kiosku papierosy, podchodził do mnie jakiś kibic i pytał: *O której jutro gracie na ul. Podskarbińskiej?* I tak szło po ludziach – opowiadał Mieczysław Szymkowiak – dziennikarz powojenny, wtedy zawodnik „Błysku”, pierwszego konspiracyjnego mistrza Warszawy.

Boisko na Podskarbińskiej było najpopularniejszym boiskiem okupowanej Warszawy. Tam można było pójść w ciemno i zawsze był jakiś mecz. Bywały takie niedziele, gdy rozgrywano 3 mecze równocześnie. To boisko miało tę zaletę, że znajdowało się wśród bloków, które wyciszały odgłosy widowni.

W piłkę nożną w Warszawie grano na ul. Opaczewskiej, na Marymoncie, na Grochowie, ale też w Karczewie, Milanówku, Konstancinie. O rozmiarach nielegalnego ruchu piłkarskiego niech świadczy fakt, że w okręgu warszawskim było zarejestrowanych aż 50 drużyn.

Przymusowe roboty za udział w meczu

Konspiracyjne warunki sprawiały, że te okupacyjne mecze znacznie odbiegały od tych, do których przywykliśmy. Wielu piłkarzy nie było stać na jednakowe stroje, nie mówiąc już o obuwiu. Bywało, że grywali boso. Ale to miało w owym czasie też wytłumaczenie. W razie wykrycia spotkania przez Niemców, była zaraz wymówka, że to spontaniczne spotkanie, a grający to przypadkowi ludzie, którym zachciało się piłkę pokopać. ▣



FOT. NAC

Jednak zdarzały się również sytuacje bardzo niebezpieczne. Warszawiakami wstrząsnęły informacje o pechowym meczu w Karczewie. Jeden z świadków powiedział: *Spotkanie wzbudziło w Karczewie olbrzymie zainteresowanie, o czym świadczyły opustoszałe ulice i nie-spotykana dotąd liczba kibiców, nawet spoza Karczewa. Wspaniała gra obydwu drużyn, narastająca przewaga Karcze-*

wian, niesamowity doping – szczególnie po wyrównaniu przez nas, na 3:3, który niósł się aż do centrum miasta, sprowadził na stadion Niemców. Początkowo było ich trzech. Dwaj przyjechali rowerami od strony ulicy Karczówek, trzeci od „Wygonu”. W ten sposób dwie drogi zostały odcięte. Padły okrzyki „halt” i strzały. Nie wszyscy byli w stanie uciec. Niemcy po sprowadzeniu posiłków zatrzymali

około dwustu osób. Część zatrzymanych udało się wykupić. Resztę wywieziono na roboty do Niemiec.

Niektóre ze spotkań rozgrywano w niezwykle brutalny sposób. W trakcie meczu w Konstancinie, a te odbywały się prawie pod nosem gubernatora Ludwiga Fischera, zajęły niemieckie samochody z żołnierzami uzbrojony-

mi po zęby. Zaczęli strzelać do piłkarzy i kibiców z broni maszynowej. Na boisku padli zabici, byli ranni, wiele osób aresztowano. Po takich dekonspiracjach, Niemcy najczęściej zaorywali boiska, żeby nie można było już z nich korzystać.

Kibice często powtarzali wiersz: *pod Rostowem od krwi ślisko, a my idziemy*

na boisko. Podziemny sport dawał młodzieży chwile normalnego życia, odprężenie, pomagał w utrzymywaniu kondycji fizycznej. W artykule „Zabawa” zamieszczonym w Biuletynie Informacyjnym napisano: Nie chcemy zniknięcia uśmiechu i pogody. Nie nawołujemy do ponurych samoudręczeń. Uważamy, że kto tylko dziś może uprawiać sport, gry sportowe – niech to czyni jak najczęściej.

Sport tylko dla Niemców

Zakaz spotkań sportowych nie dotyczył Niemców. Na przejętych stadionach odbywały się mecze organizowane przez propagandystów niemieckich, szeroko relacjonowane później w prasie. Najczęściej odbywały się na stadionie

z Cracovią sędzia zarządził rzut karny. Jeden z piłkarzy wyraził swoją dezaprobatę wobec decyzji sędziego w specyficzny sposób – kopnął go! Później do akcji wkroczyli kibice i doszło do bijatyki pomiędzy fanami obu drużyn – zapisano w jednej z relacji meczowych.

Oczywiście sport podziemny to nie tylko piłka nożna. Odbywały się mecze piłki siatkowej, głównie w ogrodach Raua, u Głuchoniemych na Placu Trzech Krzyży. Łyżwiarstwo uprawiano na lodowisku w Dolinie Szwajcarskiej. Organizowano także wyścigi kolarskie. Latem 1940 roku policja granatowa przerwała wyścigi na trasie Karowa-Tamka.

Polska była jedynym spośród okupowanych państw Europy, w którym za-

Niemcy bali się, że sport będzie wzmacniał patriotyzm

przy ulicy Myśliwieckiej. W drużynie warszawskiej grali głównie Volksdeutsche, przeciwnikami byli reprezentanci innych miast – zapewne wybierani też na tej samej zasadzie, co w Warszawie.

Piłka nożna, wymagająca większych przestrzeni, trudniejsza do ukrycia od innych sportów, okazała się najbardziej żywotna i prężna. Mecze piłkarskie cieszyły się dużą popularnością. Pomimo strasznych kar – zatrzymania, aresztowania, wywózki na roboty do Niemiec czy nawet śmierci, na mecze przychodziło nawet do kilku tysięcy kibiców! A emocji podczas takich spotkań było bardzo wiele. *Podczas meczu Wisły*

broniono sportu. Przed obiektami sportowymi i boiskami postawiono tablice ostrzegawcze: Fussballspielen für Polen streng verboten lub Polen ist da Betreten des Sportplatzes bei strafe verboten. Niemcy bali się, że pozwolenie na uprawianie sportu będzie potęgowało patriotyczne nastroje. Za nieprzestrzeżenie zakazu groziła jedna kara – kara śmierci. ■

W tekście wykorzystano informacje zawarte w książce Tomasza Szarota *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*. Wywiad z Juliuszem Kuleszą autorem książki *Zakazane gole. Futbol w okupowanej Warszawie*.

Hegemoni pabianickiego włókiennictwa

> Monika Walaszczyk

W 1825 roku do Pabianic przybył Gottlieb Krusche. Uruchamiając 6 krosien tkackich, dał początek wielkiej manufakturze, a w wyniku ślubu jego córki powstała spółka Krusche-Ender.

Beniamin Krusche, syn Gottlieba urodził się 4 października 1807 roku w Reichenau w Saksonii w rodzinie wyznania ewangelicko-augsburskiego. Był synem tkacza Gottlieba i Anny Rozyny z domu Rolle. W 1825 roku rodzina Krusche przeniosła się do Pabianic, gdzie pozostała na stałe. Tutaj nad Dobrzynką założyli w 1826 roku ręczną tkalnię z 9 warsztatami z zamiarem produkowania wyrobów bawełnianych.

Po wycofaniu się ojca z przedsiębiorstwa, Beniamin Krusche przejął zakład, stopniowo zwiększając swój majątek i rozwijając produkcję. W 1830 roku nabył w Pabianicach m.in. piętrowy

dom murowany i plac. Cztery lata później otrzymał pozwolenie na handel solą i prowadzenie sklepu kramarskiego. Na przełomie 1839 i 1840 roku założył farbiarnię. W połowie lat 40. XIX wieku posiadał ponad 90 krosien, przy których pracowało blisko 100 pracowników. Dobrze prosperujące i stale rozwijające się przedsiębiorstwo umożliwiło Kruschemu zakup pierwszego krosna mechanicznego, a następnie maszyny parowej.

Spółka Krusche-Ender

Beniamin Krusche przejął biznes ojca po jego śmierci w 1851. Był z nią związany już kilkanaście lat, pracując pod

pilnym okiem Gottlieba. To właśnie jego energiczna działalność spowodowała zainstalowanie nowych mechanicznych krosien oraz maszyny parowej. W zakładzie pracowało wówczas 220 robotników. Nastąpił okres gwałtownego rozwoju firmy, co zaowocowało dalszym wzrostem zatrudnienia. Produkowano szeroki wachlarz tkanin m.in. perkale, muśliny, korty, manchestery, nankiny, tkaniny pościelowe, pończochy, sukno, flanele itp. W 1869 roku zorganizował pierwszą kasę chorych dla pracowników.

Beniamin Krusche przeszedł na wyznanie braci morawskich, które było

reprezentowane w Pabianicach w 1857 roku przez 146 herrnhutów. W roku 1831 pojął za żonę Joannę Elonorę z domu Leupolt. Z tego małżeństwa urodziło się aż 16 dzieci. Najstarszą córką była Maria Augusta, która w wieku 37 lat poślubiła Karola Endera, dając początek spółce *Krusche-Ender*. Z jej to inicjatywy w 1882 roku rozpoczęto budowę domów robotniczych tzw. famuł. Po śmierci Joanny, Beniamin poślubił Amalię z domu Wende.

W sierpniu 1881 roku Beniamin Krusche wycofał się z firmy, którą przejęli: jego syn Herman i zięć Karol Ender, a rok później zmarł. Został po-

chowany na cmentarzu ewangelickim, gdzie jego nagrobek zachował się do dziś. W 1883 roku rodzina Ender wybudowała przy ulicy Zamkowej okazały pałac, tuż obok niego znajdowały się biura i kontor firmy Krusche Ender.

Enderowie z Chemnitz

Karol Edward Ender urodził się 16 maja 1840 roku w Althörnitz koło Zittau w Saksonii. Był synem Jana Krzysztofa Endera – gospodarza rolnego i Joanny Krystiany z domu Leupalt. Po ukończeniu szkoły elementarnej wstąpił do technicznej szkoły zawodowej w Chemnitz, gdzie zdobył wykształcenie w zawodzie tkackim.

Zanim jeszcze przybył do Pabianic w 1858 roku, zmarł mu ojciec, a jego matka ponownie wyszła za mąż i przeniosła się do Bertzdorfu w Saksonii. W wieku 18 lat został przyjęty do fabryki wyrobów wełnianych w charakterze majstra tkackiego. Zakład ten należał do pabianickiego fabrykanta Beniamina Kruschego, którego żona Eleonora z Leupoltów była najprawdopodobniej spokrewniona ze wspomnianą matką Karola Endera.

Warto zauważyć, że Karol Ender poświęcił się także pracy charytatywnej. Z jego inicjatywy w 1897 roku założono Pabianickie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności, na którego fundusz ofiarował 10 000 rubli. Ze względu na zły stan zdrowia, wyjechał do Drezna. W 1901 roku, 14 lat po śmierci pierwszej żony, ożenił się ponownie z Elżbietą z domu Manteuffel. Zmarł na serce nagle, w wieku 74 lat w Dreźnie 27 grudnia 1914 roku. Pochowany w rodzinnej miejscowości Hörnitz koło Zittau.

Pod koniec XIX wieku rodzinna firma odnotowała kolejne sukcesy: w 1882 zdobyła złoty medal na wystawie w Moskwie, 6 lat później powtórzyła

ten sukces w Warszawie, a w 1896 roku w Niżnym Nowogrodzie uzyskała prawo używania godła państwowego na towarach.

Album dla Mościckiego

W 1884 roku wycofał się z działalności jeden z synów Beniamina Kruschego, a na jego miejsce wszedł jedyny syn Karola Endera – Teodor. W 1884 roku firma przekształciła się w jeden z największych zakładów włókienniczych w całym Królestwie Polskim. Pod koniec XIX wieku Teodor utworzył Spółkę Akcyjną Pabianickich Fabryk WYROBÓW Bawełnianych *Krusche i Ender*.

Ender ożenił się z Heleną z domu Knothe. Wybudował w 1900 roku w Moszczenicy zakłady przemysłowe, składające się z przędzalni bawełny i tkalni. W krótkim czasie Teodor ożywił gospodarczo Moszczenicę, przekształcając ją w osadę robotniczą. Nowy właściciel Moszczenicy zamieszkał w pałacu otoczonym parkiem. Był posiadaczem kilku majątków ziemskich, gdzie urządzał polowania. Zmarł w 1921 roku we Wrocławiu, a pochowany został w Pabianicach na cmentarzu ewangelickim.

W dalszym rozwoju firmy znaczącą rolę odegrał syn Hermana Kruschego



> Fotografia Karola Edwarda Endera oraz jego akt ślubu z parafii ewangelickiej w Pabianicach

FOT. METRYKI.GENEALODZKI.PL

— Feliks Krusche, urodzony w Pabianicach. W 1926 roku, z okazji 100-lecia istnienia firmy, Feliks Krusche i Stefan Ender (syn Teodora) złożyli prezydentowi Rzeczypospolitej Ignacemu Mościckiemu pamiątkowy album. Dwa lata później zakłady przyjęły nazwę Spółka Akcyjna Pabianickich Fabryk WYROBÓW Bawełnianych *Krusche i Ender*. W 1930 roku doszło do połączenia fabryki ze spółką *Moszczenicka Manufaktura T. Ender i Spadkobiercy*. Na rok przed wybuchem II wojny światowej rozpoczęto budowę fabryki materiałów technicznych w Baranowie pod Sandomierzem. W styczniu 1939 roku zmarł Feliks Krusche, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Pochowany został na pabianickim cmentarzu ewangelickim.

Lokalni społecznicy

W 1895 roku przez firmę został wybudowany gmach przy ul. Skromnej, w którym umieszczono elementarną szkołę fabryczną. Początkowo uczęszczało do niej 150 dzieci, a pracowało 2 nauczycieli. Dbając o rozwój umysłowy robotników i ich rodzin, firma założyła w 1905 roku bibliotekę fabryczną, składającą się z książek dla młodzieży i dzieci, dzieł naukowych, powieści, biografii i opisów podróży. W 1912 roku księgozbiór liczył 1599 tomów w języku polskim, niemieckim i rosyjskim.

W 1906 roku przy fabryce powstał zakład kąpielowy, z którego pracownicy korzystali bezpłatnie (ul. Grobelna). Nowy gmach szpitalny z 50 łóżkami i ambulatorium stanął w 1909 roku (obecnie ul. św. Rocha 8). Zarząd firmy na czele z Feliksem Krusche popierał rozwój kultury fizycznej wśród robotników. W 1923 roku powstało Towarzystwo Sportowe „Kruschender” o następujących, stopniowo zakładanych sekcjach: gimnastycznej, lekkoatletycznej, gier sportowych, pływackiej, kolarskiej i piłki nożnej. Przewodniczącym klubu został Feliks Krusche, a wiceprzewodniczącym Karol Ender. W latach 1927–1929 wybudowano stadion sportowy. W 1924 roku powołano orkiestrę fabryczną. Rok później powstała Kasa Pracowników Urzędników Towarzystwa Akcyjnego „Krusche i Ender”. W 1927 roku założono Robotniczą Kasę Pogrzebową, a w następnym roku utworzono Chór Męski im. Teodora Endera. ■



GENEALOGICZNY NEWSROOM

100 tysięcy unikatowych fotografii obrazujących historię Polski

Portal foto.karta.org.pl prezentuje część z trzystutysięcznego zbioru fotografii. Zdjęcia były gromadzone przez ponad trzy dekady działalności Fundacji Ośrodka KARTA, organizacji pozarządowej, która zajmuje się dokumentowaniem i popularyzowaniem najnowszej historii Polski.

Więcej informacji [tutaj](#).

Ruszyła rejestracja na IV Brzeg!

Opolscy Genealodzy uruchomili rejestrację na IV Brzeg. Rejestracja pobytu uczestnika umożliwiła zamówienie obiadów i noclegów, wieczorów i atrakcji dodatkowych na Ogólnopolskiej Konferencji Genealogicznej na Zamku Piastów Śląskich w Brzegu. Dostępny jest także program Konferencji.

Więcej informacji [tutaj](#).

Lista nauczycieli polskich zamordowanych przez Ukraińców na Kresach w latach 1939–1947

Wykazy te, a zwłaszcza drugi i trzeci, są zaledwie pierwszą próbą, bardzo fragmentaryczną, ujęcia zagadnienia martyrologii polskich nauczycieli w szponach sowieckiego bolszewizmu, niemieckiego faszystów i ukraińskiego banderyzmu.

Więcej informacji oraz lista dostępna [tutaj](#).

Genealogia genetyczna staje się coraz bardziej popularna

Poszukiwania przodków nie ograniczają się już tylko do budowania drzewa genealogicznego i odnajdywania kolejnych metryk. Dzięki genealogii genetycznej, każdy bez wyjątku, może prześledzić swoje pochodzenie wiele tysięcy lat wstecz.

Genealogia genetyczna staje się coraz bardziej popularna wśród polskich poszukiwaczy rodzinnej przeszłości. Ceny badań DNA od wielu lat maleją, a promocje największych firm genetycznych za oceanem przyciągają kolejnych chętnych. Chociaż wśród społeczeństwa badania DNA najczęściej kojarzone są z potwierdzeniem ojcostwa, pokrewieństwa albo wykryciem chorób dziedzicznych, to ta forma poszukiwań odległych przodków zyskuje sympatyków.

Można więc śmiało powiedzieć, że w polskiej genealogii nadchodzi „nowa fala” – genealogów genetycznych. Tropienie rodzinnej przeszłości wykracza coraz bardziej poza dokumenty i archiwa – nawet te znacznie rzadziej wykorzystywane w masowej genealogii. Genealogia genetyczna nierozdzielnie łączy się z dziedziczeniem – jednak takie badania są znacznie bardziej zaawansowane niż te, o których uczyliśmy się na lekcjach biologii.

Kłopoty początkujących

Zaczynając przygodę z genealogią genetyczną, spotykamy się z wieloma skrótami i nazwami, które nie zawsze są dla nas do końca zrozumiałe. Haplogrupa, X-DNA, SNP, rekombinacje – takie terminy biologiczne mogą odstraszać. „Testy DNA wydają się trudne, z ich interpretacją nie poradzi sobie przeciętny genealog” – to myślenie często decyduje o tym, że jednak nie podejmujemy „polskrobania się po policzku”.

Naprzeciwoczekiwaniom wychodzą do świadczeni już genealodzy genetyczni. Na Facebooku od kilku lat działa grupa „Genealogia genetyczna” założona przed dr. Łukasza Lubicz-Łapińskiego. – Mamy nadzieję, że grupa wypełni lukę w polskiej przestrzeni wirtualnej – można przeczytać w pierwszym poście. Liczy ona już ponad 1200 członków. Oczywiście nie wszyscy zdecydowali się jeszcze na badania genetyczne, jednak pytania o to, jaką firmę wybrać,

jaką liczbę markerów zbadać, pojawiają się niemal codziennie.

Warsztaty z genealogii genetycznej

W Internecie pojawiają się także kolejne strony, na których poruszane są wyłącznie tematy z zakresu genealogii genetycznej. Jedną z nich założył Eryk Jan Grzeszkowiak – również redaktor „More Maiorum”. Na blogu prowadzi niejako „warsztaty” w trybie online. Znaleźć tam można zarówno treści dla początkujących w tej dziedzinie, jak i tych zaawansowanych, którzy z badań genetycznych chcą wycisnąć jak najwięcej.

Jedną z organizacji genealogicznych, która zaangażowała się w tę dziedzinę genealogii, jest Górnośląskie Towarzystwo Genealogiczne „Sillus Radicum”. W dniach 21–22 czerwca w Chorzowie odbędzie się konferencja genetyczna Śladami przeszłości... Genealogia genetyczna. – Nieczęsto w jednym miejscu można posłuchać prof. Marka Figlerowicza – badacza piastowskiego DNA, i Vadima Urasina – twórcy YFull – pisze Damian Jureczko, prezes GTG. A lista prelegentów jest naprawdę imponująca. Przekrój tematów – od szlachty litewsko-tatarskiej po korzenie Ślązaków, pokazuje jak bardzo interdyscyplinarna jest to nauka. Organizatorzy przewidują także warsztaty z genealogii genetycznej, które poprowadzą

dr Łukasz Lubicz-Łapiński i Eryk Jan Grzeszkowiak.

Niezwykły projekt DNA na Śląsku

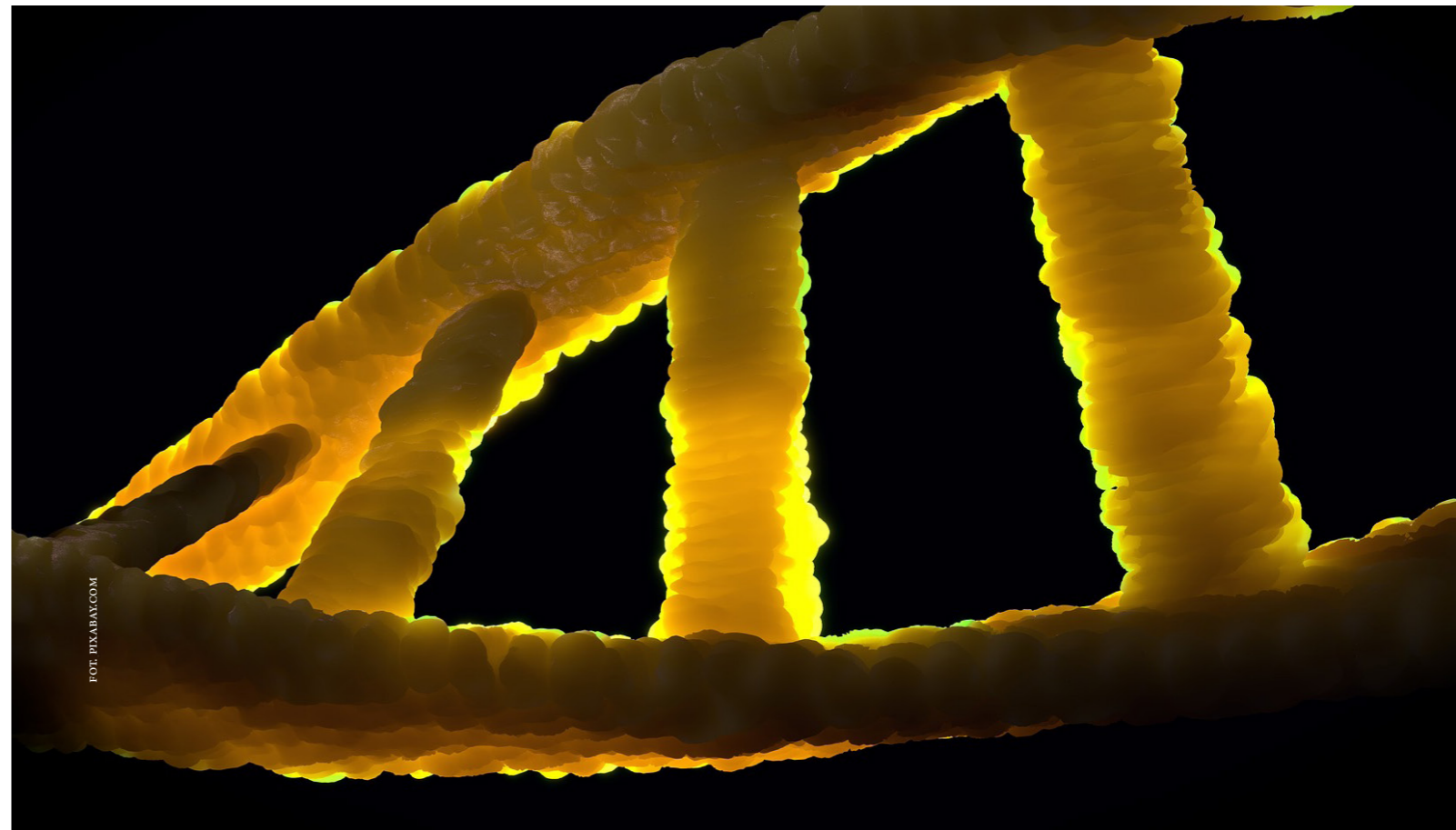
Działalność towarzystwa na tak ciekawym kulturowo i historycznie terenie – Górnym Śląsku, często pomijanym w ogólnopolskich dyskusjach genealogów, dała pretekst do zbadania pochodzenia Ślązaków. Krzysztof Bulla – jeden z twórców „Projektu SILESIA DNA” zauważa, że będzie to pierwsze tego typu przedsięwzięcie na tym obszarze. – Celem projektu jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, skąd tak na-

prawdę pochodzą Ślązacy – mówi Bulla. A tę możliwość oferują jedynie badania DNA, bowiem wszelkie dokumenty, mogące dać odpowiedź na to pytanie, nie przetrwały próby czasu. Z przekazów kronikarzy wiadomo, że tereny Śląska mogli zamieszkiwać plemiona germańskie. Czy te relacje znajdują potwierdzenie w wynikach badań DNA dzisiejszych mieszkańców Śląska?

Jak piszą twórcy „Projektu SILESIA DNA”, jest on adresowany do każdego potomka osoby, który ma przodków w linii męskiej lub żeńskiej na historycznym Śląsku przed wybuchem II wojny światowej.

Genealogia genetyczna staje się powoli coraz bardziej popularną możliwością prowadzenia badań genealogicznych. Chociaż ceny testów DNA nie są jeszcze stosunkowo drogie, możemy być pewni, że w miarę upowszechniania się tej dziedziny genealogii, będą one coraz niższe.

Z pewnością genealogia genetyczna dla wielu historyków rodzinnych okaże się jedyną alternatywą zaginionych metryk. Warto pamiętać jednak, że linia metrykalna nie musi być tożsama z tą biologiczną. Zawód listonosza nie jest przecież pomysłem dzisiejszych czasów. ■



FOT. PIXABAY.COM

> Robert Magnuski

Przez 12 miesięcy zindeksowano prawie 2 mln nazwisk!

Ten największy amerykański projekt genealogiczny w ostatnich latach był bezprecedensowy pod kątem liczby wolontariuszy oraz rezultatów. W ciągu 12 miesięcy zindeksowanych zostało aż 1,8 mln nazwisk!

FamilySearch International – największa na świecie organizacja genealogiczna, podarowała nowo zindeksowaną bazę danych historycznego Biura Zasobów Wyzwoleńców (Freedmen's Bureau Records) waszyngtońskiemu Narodowemu Muzeum Historii i Kultury Afroamerykańskiej – powiedział Starszy Christofferson. Muzeum zostało uroczysto otwarte w Nowym Jorku 24 września 2016 roku.

Starszy D. Todd Christofferson z Korum Dwunastu Apostołów Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich przekazał bazę dyrektorowi muzeum, Lonniemu Bunchowi, w obecności przywódców kongresu, ekspertów od genealogii oraz wolontariuszy, którzy odgrywali kluczową rolę w tym projekcie.

– Nie mogę znaleźć lepszego sposobu na uhonorowanie bezprecedensowe-

go zaangażowania tych wolontariuszy, a także odwagi i hartu tych, których imiona zostały odnalezione wśród tych zapisów, niż poprzez symboliczne umieszczenie tych zasobów w Narodowym Muzeum Historii i Kultury Afroamerykańskiej – powiedział Starszy Christofferson. Muzeum zostało uroczysto otwarte w Nowym Jorku 24 września 2016 roku.

25 000 wolontariuszy

Dodał, że po raz pierwszy w historii Afroamerykanie będą mieli możliwość symbolicznego „przerzucenia mostu” między okresem niewolnictwa a wolności i ponownego połączenia swych rodzin, obecnie na papierze, które w przeszłości zostały fizycznie rozłączone za sprawą niewolnictwa.

Pod koniec wojny secesyjnej, wyzwolenicy przemierzali nieraz wielkie odległości, aby połączyć się z rodzinami. Dane Biura Wyzwoleńców są niezbęd-

ne dla zrozumienia ich dążeń i rekonstrukcji historii rodzin, które tworzyli.

W 2016 roku, w projekcie brało udział ponad 25.000 wolontariuszy ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. Wolontariusze wydobyli na światło dzienne prawie 2 miliony osób z 4 milionów pozostających w niewolnictwie.

Kluczem do sukcesu tego projektu były ogólnokrajowe kapituły Afroamerykańskiego Towarzystwa Historyczno-Genealogicznego (Afro-American Historical and Genealogical Society), które współpracowało z miejscowymi kongregacjami mormońskimi, kościołami afroamerykańskimi oraz innymi jednostkami w ponad 100 projektach związanych z indeksowaniem.

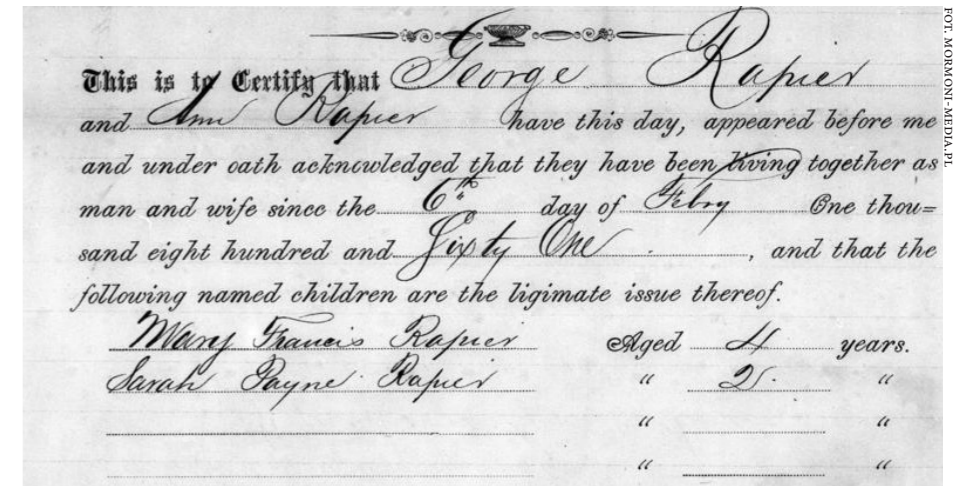
Każdy dokument był indeksowany przez dwóch wolontariuszy. Jakikolwiek różnice we wpisanych przez nich danych były sprawdzane przez trzeciego doświadczonego indeksującego zwanego rozstrzygającym, który wprowadzał ostateczną wersję do arkusza danych.

Korzystając ze zindeksowanych materiałów i skanów dokumentów dostarczonych przez FamilySearch, Narodowe Muzeum Historii i Kultury Afroamerykańskiej (National Museum of African American History and Cul-

ture) rozpoczęło współpracę ze Smithsonianem Centrum Transkrypcji – internetową platformą skierowaną do wolontariuszy, której celem jest tworzenie zapisów w formacie cyfrowym oraz dostęp do zbiorów smithsonowskich. Zindeksowane zbiory przygotowane przez wolontariuszy FamilySearch uzupełnione zostaną dosłowną transkrypcją każdego dokumentu kolekcji w ramach projektu transkrypcji Freedmen's Bureau. Po jego ukończeniu dokumenty będzie można przeszukiwać on-line. Te wspólne wysiłki pomogą w zwiększeniu dostępu do zbiorów Freedmen's Bureau, dzięki czemu opinia publiczna dowie się więcej o historii Stanów Zjednoczonych z okresu Rekonstrukcji.

Jak uzyskać dostęp do bazy?

Biuro Wyzwoleńców zostało utworzone w 1865 roku na mocy zarządzenia kongresu, pod koniec wojny secesyjnej. Biuro oferowało różne formy pomocy wyzwolonym niewolnikom. Pisana odręcznie dokumentacja obejmuje m.in. rejestry ślubne, rejestry szpitalne i chorobowe, spisy mieszkańców, umowy o pracę, umowy i kontrakty dotyczące przyjęcia do terminu rzemieślniczego, dokumenty dotyczące prób podejmowania edu-



> Nieformalna metryka ślubu z 1861 roku

kacji oraz wiele innych. Zgromadzono dokumentację z 15 stanów oraz z Dystryktu Kolumbia.

Starszy Christofferson powiedział, że poprawne odczytanie dokumentacji stanowiło nie lada wyzwanie dla indeksujących dlatego, że nie była sporządzana w jednolity sposób. Oprócz rejestrów, w dokumentacji znajdowały się zbiory listów oraz inne dokumenty sporządzane odręcznie w różnej formie. Każdy, kto próbował odczytać odręczne pismo z tamtego okresu, zdaje sobie sprawę, że bywało to niezwykle trudne.

Dla Afroamerykanów dostęp do bazy Freedmen's Bureau on-line będzie bezpłatny za pośrednictwem strony internetowej www.discoverfreedmen.org.

– Obecnie skupimy się na nauczaniu zainteresowanych, w jaki sposób prowadzić kwerendy zdigitalizowanych dokumentów, aby mogli odnaleźć swych przodków i połączyć ich ze swymi rodzinami poprzez to utracone pokolenie – powiedział Thom Reed, dyrektor wykonawczy FamilySearch.

FamilySearch jest największym towarzystwem genealogicznym na świecie. Udostępnia miliony dokumentów metrykalnych dla nieograniczonego kręgu zainteresowanych. Jest organizacją typu non-profit sponsorowaną przez Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. ■

> Paweł Becker

Jakie tajemnice kryje przed nami czerwiec?

Rzymianie znają go jako Junius, miesiąc poświęcony *Junonie*, czyli Herze. My, Słowianie pokornie oddaliśmy ten miesiąc lichym robaczkom, zwanym czerwcom, które wszelako dają nam czerwony, królewski, arystokratyczny barwnik – kolor czerwony.

Czerwiec to szósty miesiąc roku. Ma 30 dni, jednakże wiedza o nim skupia się przede wszystkim na dniu 23 czerwca/24 czerwca. Tegoż dnia wypada najkrótsza noc w ciągu całego roku, a dzień jest naj-

dłuższy. Od najdawniejszych czasów ludzie uważali, że jest to noc niezwykła, magiczna, podobnie jak i noc najdłuższa, wigilijna. Słowianie czcili ów dzień jako Sobótkę, Noc Kupały. Zbięrano się nad wodami. Dziewczęta wiały

wianki z ziół i kwiatów i puszczały je na wodę – utonął, znaczy się śmierć czyha, płynął daleko, to wróżył długie życie, wyłapał go młodzieniec, tedy ślub był rychły. Często noc ta była okazją do inicjacji seksualnej młodych w słowiańskim świecie (co świetnie pokazuje film *Stara baśń* na motywach powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego).

Magiczny kwiat paproci

Przed wszystkim jednak szukano magicznego, niezwykłego, cudownego kwiatu paproci. Oto kwiat ten miał rosnąć tylko w tę jedyną noc. Zakwitać

na chwilę. Kto go znalazł, miał zerwać i schować głęboko, a wielkie bogactwo miało spaść na niego z samego nieba. Był jeden warunek, jak i w bajce o złotej kaczce w warszawskich piwnicach, oto bogactwo dla jednego, dla znalazcy, z którym nikim dzielić się nie może, nikomu ni grosza nie może dać, inaczej złoto zniknie. Warunek ten chyba odstraszał przed zerwaniem kwiatu i opuszczeniem bliskich, bo wielu na

> Henryk Siemiradzki, *Noc świętojańska*, 1892



FOT. WIKIMEDIA COMMONS



wędrówkę za nim wyruszało, ale nikt nie znalazł owej cudownej rośliny.

Nocne świętowania nie podobały się chrześcijańskim kapłanom. Oddawanie czci pogańskim bożkom, szukanie magicznych kwiatów, rozpusta, na którą inni przyzwali – było tego za wiele. Zakazano świętowania Kupały, ale przecież lud domagał się czegoś niezwykłego. Oddano noc tę świętemu prorokowi, stojącemu na granicy Starego i Nowego Testamentu – św. Janowi Chrzcicielowi, który jako jedyny ze świętych czczony jest nie w dzień swej

śmierci, ale narodzin. I tak 24 czerwca stał się dniem Janowym, a noc tę znano teraz jako noc świętojańską. Jan Chrzciciel miał błogosławić wodę, od-tąd dozwolone były kąpiele, wcześniej nikt nie ważył zanurzać się w potokach i jeziorach. Ale lud nadal wiał wianki i szukał kwiatu paproci...

Wspomnienie znanych

1 czerwca to Dzień Dziecka. Młode to święto, obchodzone dopiero od 1955 roku. Choć w wielu państwach nie zawsze jest to 1 czerwca, ale niemal każdy

kraj jeden z 365 dni oddaje w swym kalendarzu najmłodszym.

1 czerwca narodził się ukochany poeta polski XX wieku, ks. Jan Twardowski, znany jako ks. Jan od Biedronki. Wspomniały, popularny poeta, autor pięknych, prostych wierszy. Autor słynnych słów *Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...*

6 czerwca narodziła się natomiast pani Eliza. Eliza Orzeszkowa. Pisarka, feministka, działaczka społeczna i zaangażowana w powstanie styczniowe.

Kobieta niezwykła. Ileż pokoleń zanu-dzało się lub zachwycało nad jej epopeją nadniemeńską. Jednak nikt nie zostawał nad tą księgą niewzruszony. Niedoceniana dziś, oceniana krytycznie za przydługie opisy przyrody niech trwa w pamięci narodowej jako pierwsza z kobiet, które piórem wy-walczyły sobie w narodzie sławę nieśmiertelną.

6 czerwca to też dzień wspomnienia bł. Marii Karłowskiej, założycielki zgromadzenia siostr Pasterek. Niestrudzona ta niewiasta z największego marginesu



FOT. WIKIMEDIA COMMONS



INSPIRACJA: WIKIMEDIA COMMONS

dziewczęta, prostytutki najlichsze, by jak zagubione owce przyprowadzić do stada.

Męczeńska śmierć w Rzymie

13 czerwca swoje święto w Kościele ma najpopularniejszy święty katolicki. Ten, który ma najwięcej obrazów, figur, świątyń, kapliczek w chrześcijańskim świecie. Padewski kaznodzieja i patron rzeczy zagubionych, który wzywany jest, gdy znikną klucze, dokumenty lub portfel w torebce – św. Antoni.

22 czerwca natomiast mało znany w Polsce – św. Tomasz Morus, patron... dobrego humoru! Dzień później narodziła się Anna Achmatowa, rosyjska poetka, wyklęta przez władze sowiec-

kie, kochana przez czytelników jedna z najwybitniejszych kobiet literatury rosyjskiej XX wieku. A 29 czerwca narodził się Antoine de Saint-Exupery, autor uwielbianego na całym świecie *Małego Księcia*.

Tego samego dnia swoje miejsce w kulcie mają wielcy apostołowie Piotr i Paweł, którzy wedle wierzeń tego samego dnia ponieśli śmierć męczeńską w Rzymie. Piotr został ukrzyżowany głową do dołu, a Paweł święty mieczem.

I 30 czerwca. Dzień narodzin wielkiego pisarza, giganta polskiej i światowej literatury, noblisty, Czesława Miłosza. Czerwiec to też dzień tak miłych dni, jak Dzień Przyjaciela (9 czerwca) lub Dzień Przytulania (24 czerwca). ■

> Piotr Rytel

HISTORIE POWSTANIA

W Sułkowie przebywa urlopowany żołnierz, zaciągnięty wcześniej do rosyjskiego wojska. Podobnie jak jego współtowarzysze, otrzymuje wezwanie od Rządu Narodowego, aby przyłączył się do powstania. Żołnierz udaje się z dokumentem opatrzonym pieczęcią powstańcą do pułkownika Szylder-Szuldnera we Włocławku. Pułkownik każe mu szpiegować włościan i straszyć ich, że Polacy będą nieposłusznych zamykać w obozach, a nawet wieszać. Naczelnik powiatu brzesko-kujawskiego wysła czterech powstańców z poleceniem pochwylenia żołnierza. Ten jednak ucieka. Nie udaje się zamiar postawienia go przed sądem wojennym za pomaganie Moskalom. Mało tego, żołnierz podburza włościan przeciwko dziedzicowi. Stawia im wódkę w karczmie i namawia do ataku na dwór. Podpici chłopci uzbrojeni w widły i kosy wpadają do zabudowań dworskich. Dziedzica nie ma w posiadłości, rządca ratuje się ucieczką. Jego mieszkanie buntownicy niszczą i plądrują.

Mimo obsadzenia domu pocztowego w Warszawie wojskiem rosyjskim, kasjer przekazuje przedstawicielom Rządu Narodowego 55 tysięcy rubli. Moskale czym prędzej sprawdzają, czy ostatnia przesyłka do Petersburga rzeczywiście zawiera pieniądze, czy może tylko bezwartościowe kartki papieru. Kasjerowi udaje się zbiec przed żandarmami. Mówi się o tym, że w kasie Rządu Narodowego jest ponad 10 milionów rubli.

W nocy z 24 na 25 listopada 1863 roku, Moskale dokonują w Warszawie licznych aresztowań. Wśród nich są radcy stanu i kierujący w komisjach rządowych. Zatrzymany jest również Łuszczewski, ojciec poetki, Deotymy.

W styczniową noc 1864 roku policja moskiewska dokonuje aresztowań zecerów warszawskich. Zamykani są w cyrkułach. Powód jest znany: Moskwa nie chce dopuścić do wydania przez Rząd Narodowy manifestu w rocznicę powstania. Na nic represje: proklamacja zostaje wydrukowana i 22 stycznia rozprowadzona w tysiącach egzemplarzy.

W odezwie Rząd Narodowy nazywa ostatni rok czasem próby i doświadczeń oraz wzywa do jedności w działaniu, co jest gwarancją zwycięstwa.

Rosyjskim naczelnikiem wojennym w Łomży jest pułkownik Miesojadow. Często powtarza: *prawo to ja*. Na zarządzonego bal w czasie przedświątecznym, bo 18 grudnia, rozsyła zaproszenia, za które trzeba zapłacić 25 rubli srebrem. Nikt nie waży się odmówić. Kobiety obecne na balu, pułkownik nazywa Laszkami, żonami buntowników. Złośliwość Moskala nie ma końca. Nakazuje jednej z żon aresztowanego powstańca objęcie funkcji gospodyni balu. Gdy ta wymawia się, obiecuje przyprowadzić z więzienia jej męża. Po chwili wprowadzają skazańca w kajdanach i pod eskortą. Każe mu patrzeć na taniec jego żony z rosyjskim oficerem.

W Kijowie, w pobliżu turmy, przechadza się moskiewski oficer. W pewnym momencie zapada się w ziemię po pas. W ten sposób Rosjanie trafiają na podkop służący więźniom do ucieczki. W dolnej turmie znajduje się około stu powstańców polskich, którzy pragną odzyskać wolność.



> Marta Jasińska

Tragiczny koniec 1829 roku - kronika kryminalna z Żurawicy



Wieczór 31 grudnia 1829 roku kobiety żurawickie na próżno czekały na swoich mężów, którzy wyjechali saniami po kamienie do Wapowic. Na próżno, bo w karczmie łętowskiej, gdzie stanęli, aby odpocząć, zostali pobici przez chłopów z Korytnik. Przebieg wydarzeń przedstawili pokrzywdzeni kilka dni później:

Podpisani poddani ze wsi Żurawica mając rozkaz jechać do Wapowic po kamienie dla Dworu naszego, wyjechało nas sani parokonnych 15, gdy my nabrali te kamienie, przyjechaliśmy do karczmy łętowskiej odpocząć koniom i te ponapojąc, bo tam jest woda niezamarznęta i dobry przystęp do pojenia,- to było dnia 31.12.1829 w czwartek. Najprzód przyjechało nas ośmioro sani z kamieniami (...). Stanęły sanie z końmi Jędrzeja Partyki niedaleko sani z wołami poddanego korytnickiego – gdzie się woły zlekły i pod konie Jędrzeja Partyki sanie w tył cofnęły – gdzie w tym tenże Jędrzej Partyka wziął bicz i odpedził woły od swoich koni i raz jeden biczem woły uderzył. Za to poddany korytnicki nazwiskiem Lencyk zaczął słowami niegodziwymi Jędrzeja Partykę szkalować, gdzie mu też także Jędrzej Partyka odpowiedział podobnymi słowami i temi słowy, „że wołam” nic nie zrobiłem z tego że ich odegnałem od moich koni, które mogłyby moje konie pokaleczyć.

Lecz Lencyk poddany korytnicki zaraz przypadł do Jędrzeja Partyki i uderzył go za ucho kilka razy, wprowadzie Jędrzej Partyka chciał się bronić, ale więcej korytnickich chłopów przybyło, nie tylko Jędrzeja Partykę ale i Hrycia Smuka i Józefa Partykę poczęli bić. Najsamprzód na dworze a po tym gwałtem wciągnęli nas do karczmy łętowieńskiej gdzie pełno chłopów z Korytnik było i wójt Choź z Korytnik, któren na śmierć nie tylko sam bił, ale rozkazywał chłopom kory nas bić wołając: „bijcie dobrze aż na śmierć, ja za to odpowiem, basarunek zapłacę, stać mnie to uczynić, bo ja się nie boję ani Dominii ani Urzędu Cyrkularnego” powiedział także i to że chłopów bolestraszyckich w przeszłym roku zbił i „coż mi za to zrobiono”. (...) Po tym ci poddani korytnicki mając na czele swojego wójta w liczbie 20 chłopów wypadli z karczmy pochwytawszy polana drew z karczmy, biegali aż na drogę cesarską bijąc chłopów żurawickich. Ponieważ Józefa Partykę śmiertelnie zbili i skaleczyli aż półgodziny nieżywym na ziemi leżał, wzięli my sanie z jednym koniem poddanemu korytnickiemu.

Teraz upraszamy podpisani poddani Szanownej Zwierzchności Grontowej, aby się przyczyniła żeby m za takowe nasze pokrzywdzenie na zdrowiu podług prawa nie tylko basarunek otrzymali, ale nadto ci poddani Korytnik wraz z wójtem koszta leczenia chirur-

ga do zapłacenia zmuszeni byli jako też za takowe zbrodnie i gwałt na publicznej drodze karanemi zostali, gdzie kilku z nas nie będzie w stanie ani pańskie odrobić, ani sobie w domu co zrobić przez ciężkie nasze skaleczenie.

Skarga pobitych chłopów została dołączona do pisma do Przemyskiego Urzędu Cyrkularnego poborcy podatkowego Laskowskiego, który stanął po stronie żurawickich chłopów. W stanowczych słowach żądał ukarania sprawców pobicia, a w szczególności wójta Korytnik: *któren nie tylko zachęcał chłopów korytnickich do bicia lecz też sam bez miłosierdzia bił i kaleczył tak dalece, że Józef Partyka od skaleczenia na miejscu zemdlął i ledwie go żywego do Żurawicy przywieźli, gdzie przez skaleczenie w głbie i głowie trzeci dzień nic nie może i bez szpitalu trudno, aby mógł się obejść, chociaż go i innych pokaleczonych Pan Frost Chirurg opatrzył i lekarstwa przypisał.* Laskowski domagał się także, by sprawa nie była prowadzona w Krasiczynie *bo zostanie lekko potraktowana i na niczym się skończy.*

Niestety Laskowskiemu nie udało się przenieść sprawy poza Krasiczyn, a że miał słuszne podejrzania o stronniczość Dominium Krasiczyn, świadczą wydarzenia, jakie nastąpiły. Oto już 4 stycznia chłopci korytnicki składają skargę na Żurawicę, że to oni zostali

pobici przez mieszkańców Żurawicy i domagają się ukarania oraz donoszą o kradzieży klaczy. Krasiczyn z zawrotną szybkością przesyła skargę do Przemyskiego Urzędu Cyrkularnego, a ten domaga się jeszcze tego samego dnia wyjaśnień od Żurawicy. Laskowski po raz kolejny tłumaczy całe wydarzenie – *rzeczywiście klacz jest w Żurawicy, ale zostanie natychmiast odprowadzona do Korytnik, tyle że nie wiadomo, czyj to jest koń. A to, że chłopci korytnicki zostali pobici, to nieprawda, bo przecież było odwrotnie – dowodem jest oficjalna opinia chirurga. Widać takie wyjaśnienie było niewystarczające, bo 15 stycznia Laskowski przesyła do Urzędu Cyrkularnego kolejne pismo, którym donosi, że klacz jest gotowa do oddania (znany już jest właściciel), ale poborca chce, by przy przekazaniu konia był obecny ktoś z Urzędu. Jeszcze raz odnosi się do zarzutu kradzieży konia, jako bezpodstawnego, bo chłopci ratując życie, uciekali właśnie tym zaprzęgiem. Naciska także na Urząd, by ten skuteczniej zajął się wyegzekwowaniem odszkodowania dla pobitych oraz nakazania korytnickim chłopom zapłacenia za leczenie rannych.*

Czy nasi chłopci otrzymali basarunek (odszkodowanie)? Nie wiadomo. Winni pobicia nie zostali ukarani. A główny prowodyr – wójt Korytnik, jeszcze przez kilka miesięcy sprawował swój urząd mimo starań Laskowskiego, by go ukarać. Dopiero w lipcu 1830 roku przyszło pismo do Korytnik tej treści: *Maciej Hoc zaufanie publiczne utracił, dlatego zwierzchność miejscowa ma go usunąć z urzędu i wybrać nowego.*

Nowego wójta w Korytnikach wybrano 20 września 1830 roku... ■

To nie jedyne wydarzenie z kryminalnej żurawickiej kroniki. Kolejne sensacyjne XIX-wieczne opisy już w następnym numerze *More Maiorum!*

Maiorum... humorum

czyli genealogia z przymrużeniem oka ;-)

**PRZEZ WEEKEND
BĘDZIEMY SZUKAĆ PRZODKÓW**



MORE MAIORUM



FOT. ANNA BROGHOCCA (11)

